



ARCHIWUM  
LEGIONÓW  
i N. K. N.

Nr 1785



zecz 1916.

Nr. 2.

# ROK POLSKI

CZASOPISMO POŚWIĘCONE ZAGADNIENIOM ŻYCIA  
 NARODOWEGO.

WYCHODZI W KRAKOWIE RAZ NA MIESIĄC.

WYDAWCA i REDAKTOR: PROF. Dr. AUGUST BALASITS.

## TREŚĆ:

- Roman Rybarski*: Znaczenie dostępu do morza.  
*Fr. Rawita Gawroński*: Udział Kozaków w odsieczy Wiednia.  
*Jan St. Bystron i H. Tański*: Młodzież z Królestwa a młodzież z Galicji.  
*Stanisław Głabiński*: Państwo kongresowe.  
*Józef Ujejski*: Narody i ich filozofia.  
*Tadeusz Grabowski*: Legion Mickiewicza.  
Notatki.  
Sprawozdania.

Prenumerata za I. półrocze koron 9. — Cena numeru pojedynczego 2 korony (2 marki). — Prenumeratę przyjmuje Bank Oszczędnościowy w Krakowie, Mały Rynek 4. — Czek P. K. O. 139.429.

Adres administracji: Ulica Mikołajska 13, Drukarnia Związkowa. — Zastępstwo w Warszawie: Księgarnia Gebethnera i Wolffa — na Rzeszę niemiecką: Księgarnia M. Niemierkiewicza w Poznaniu.

Redakcja otwarta w czwartki od godz. 5—6 popoł., ul. J. Dunajewskiego 1, I. p.



# ROK POLSKI

CZASOPISMO POŚWIĘCONE ZAGADNIENIOM ŻYCIA  
NARODOWEGO.

WYCHODZI W KRAKOWIE RAZ NA MIESIĄC.

## Znaczenie dostępu do morza.

W międzynarodowym współzawodnictwie wysunęło się na plan pierwszy kilka mocarstw, które dążyły do wytworzenia większych aniżeli dzisiejsze państwa narodowe organizacyi państwowo-gospodarczych. Kierunek ten, nazwany imperyalizmem, był charakterystycznym dla rozwoju polityki światowej w ostatnich zwłaszcza dziesięcioleciach. Nie wszystkie oczywiście mocarstwa mogły z równym impetem wkroczyć na tory imperyalizmu. Dwa z nich wysunęły się na czoło: Rzesza niemiecka ze swemi koloniami i Imperyum wielko-brytyjskie. Kolos brytyjski zajmował raczej obronne stanowisko, dbał o utrzymanie swojej pozycji, której jego zdaniem zagrażał nadzwyczajny rozrost Niemiec. Odmienną była polityka obydwu współzawodników, ale mimo to wykazuje ona jeden cel analogiczny; na jego tle musiało dojść do konfliktu. Jest nim dążenie do panowania nad morzem. Imperyalizm tych mocarstw przejawiał się głównie w trosce o utrzymanie potęgi morskiej, w szczególności Wielka Brytania okazywała na tym punkcie bardzo wielką drażliwość. Dążenia te znalazły swój popularny wyraz w znanych powszechnie hasłach: w dumnych słowach angielskiego hymnu: „*Britannia rules the waves*“ i w groźnej dla tego Imperyum zapowiedzi przeciwnika: „*Unsere Zukunft liegt auf dem Wasser*“. Przekonanie o konieczności utrzymania, względnie zdobycia potęgi morskiej, było nie tylko podstawą polityki rządu, lecz odczuwały tę sprawę bardzo silnie szerokie warstwy narodu. To

też konflikt, na tem tle powstały, mógł łatwo stać się popularnym w każdym z interesowanych krajów.

Nie każde mocarstwo mogło żywić tak ambitne cele i dążyć do przewodniej roli w świecie, w szczególności do wytworzenia pierwszej potęgi morskiej, słowem, do panowania nad oceanami. Obok wielkich, rozwinęły się i mniejsze imperyalizmy, zakreślające sobie ciaśniejsze cele. Rzecz charakterystyczna, że i one skierowane są ku morzu. Japonia coraz wyraźniej dąży do supremacji nad Oceanem Spokojnym i w tem dążeniu spotka się kiedyś z oporem Stanów Zjednoczonych; a w Europie Włochy marzą o tem, by znów na morzu Śródziemnym uzyskać pierwsze miejsce, by zrobić z niego, jak dawni Rzymianie, „*mare nostrum*“. Każde państwo, którego polityka ma mniej lub więcej charakter imperyalistyczny, zwraca się zawsze ku morzu. Jest to jej pęd naturalny, który zwłaszcza na tle obecnych warunków społecznych i ekonomicznych występuje z bardzo wielką siłą.

To też dążenie do panowania nad morzem poczytuje się powszechnie za istotną cechę imperyalizmu. Ale wobec tego faktu usuwa się na plan dalszy zrozumienie doniosłości morza w życiu każdego samodzielnego narodu, choćby on nawet nie miał najmniejszych zapędów imperyalistycznych. Tymczasem im mniejszem jest państwo, im potężniejsi są jego sąsiedzi, tem większe znaczenie ma dla niego granica morska. Tak jak wielkie imperya uważają za główny swój cel panowanie nad morzem, tak znów inne państwa dążą do uzyskania, względnie do rozszerzenia swojego dostępu do morza. I ten dostęp jest dzisiaj niemal niezbędnym warunkiem ich niezależności.

Jakie przyczyny złożyły się na taki stan rzeczy? Pytaniu temu warto poświęcić baczniejszą uwagę. Między czynnikami, które potęgują znaczenie dostępu do morza, należy wyróżnić okoliczności, które działały już od czasów najdawniejszych, od momentów, dających się odczuć w ostatnim czasie, w związku z ogromnym rozwojem gospodarki światowej. I jedne i drugie czynniki działają razem i dzięki im granica morska posiada dzisiaj olbrzymią doniosłość polityczno-gospodarczą.

Przedewszystkiem wchodzi tu w grę komunikacja morska. Wiele ludów nadmorskich nie rozumiało jej znaczenia, nie umiało wznieść się na taki poziom kultury, któryby pozwolił im na techniczne opanowanie morza. Co najwyżej ograniczały się one do

żeglugi przybrzeżnej. Niektóre jednak, jak Fenicyanie w starożytności, w części Normanie (dziś Norwegowie) uczyniły sobie z żeglugi morskiej główne narodowe zajęcie. Były to początki; dla innych narodów w czasach dawniejszych morze nie przedstawiało wybitniejszej doniosłości. W okresie gospodarki domowej wogóle wymiana, a cóż dopiero wymiana, dokonywana drogą morską, nie przedstawiała nadmiernego znaczenia. I później przez długi czas trudności żeglugi morskiej dawały się bardzo we znaki. Przewrót wywołało, jak wszędzie, zastosowanie maszyny parowej, która w przeważnej części zastąpiła dawne żaglowce. Zwłaszcza ostatnie lat dziesiątki przyniosły ogromny wzrost ulepszeń w komunikacji morskiej. Chromała ona zawsze pod względem szybkości wszędzie tam, gdzie występowała jako współzawodniczka kolei żelaznej. Ale dzisiaj i szybkość okrętów transportowych wzrosła bardzo znacznie. Przestrzeń, dzieląca Nowy Jork od irlandzkich wybrzeży, można przebyć za cztery dni i 12 godzin. Równoległe z tem wzrasta bezpieczeństwo, komfort i co najważniejsza, taniość komunikacji morskiej. Dzięki temu może się odbywać coraz swobodniejsza wymiana osób, co wyraża się w tem, że dzisiaj wielkie odległości, właśnie dlatego, że się je przebywa drogą morską, nie są w stanie powstrzymać masowej emigracji. Coraz większa liczba okrętów przewozi towary i ceny przewozu zmniejszają się stopniowo. Gdy porównamy z sobą koszt przewozu towarów kolejami żelaznymi i cenę przewozu okrętem, to zobaczymy ogromną pod tym względem przewagę komunikacji morskiej. Zasadniczą jest rzeczą, że wielkie odległości morskie stosunkowo w słabym stopniu podnoszą koszty przewozu, a zaś na kolejach żelaznych dają się bardziej we znaki. Rzecz to zupełnie zrozumiała, przewóz towarów okrętem zatrudnia stosunkowo mniejszą liczbę osób; nie trzeba przytem budować coraz kosztowniejszych linii kolejowych, a korzysta się z otwartego morza.

Wyraża się to w tym fakcie, że wszędzie tam, gdzie chodzi o szybkość przewozu, tam dotychczas jeszcze przewaga jest po stronie kolei żelaznej, o ile ona może współzawodniczyć z drogą wodną. Ale za to wszędzie tam, gdzie mniej zależy na szybkości przewozu, a chodzi przedewszystkiem o taniość, to bezwzględne pierwszeństwo przypada okrętowi. Pod tym względem o wiele nawet dłuższa droga morska okazuje się intratniejszą od przewozu lądem. Wiele towarów wysyłanych z Tryestu do Genui o wiele

taniej przyjdzie przesłać okrętem, aniżeli koleją; podobnie istnieje żywy ruch okrętowy między Marsylią, Rotterdamem i Londynem, chociaż na pozór wydawałoby się prostszemu skierowanie transportów na drogę żelazną. We Włoszech bardziej odległa Anglia współzawodniczyła skutecznie z Niemcami co do importu węgla, ponieważ dostawiała go tańszą drogą morską.

A dalej, jeżeli rzucimy okiem na przedmioty obrotu międzynarodowego, to zauważymy wzrastającą przewagę po stronie tych, przy których transporcie chodzi o taniść; nad towarami, których transport wymaga szybkości. W coraz mniejszym stopniu żyjemy w okresie, w którym w wymianie międzynarodowej najważniejsze miejsce zajmowały przedmioty zbytku, jak i wogóle przedmioty bardziej cenne, przy których koszt transportu nie grał wybitniejszej roli. Dzisiaj z odległych okolic przywozi się nie tylko gotowe wytwory, lecz przede wszystkim najpospolitsze surowce, które mogą długo znajdować się w drodze, ale muszą być transportowane tanim kosztem. Dzisiaj przewozi się masy drzewa, kamień budowlany, węgiel kamienny, różnego rodzaju rudy, zwyczajne środki żywności, jak np. zboże; a wszędzie tutaj ma olbrzymią przewagę komunikacja wodna.

Wzrasta również doniosłość komunikacji morskiej w tych dziedzinach, w których transport może się odbywać tylko za jej pośrednictwem. Sprzeczą się o to ekonomiści, czy rozmiary wymiany międzynarodowej w ostatnim stuleciu wzrosły w stosunku do wewnętrznej wymiany w tak znacznym stopniu, jakby się to na pozór wydawać mogło. Są tacy, którzy wbrew rozpowszechnionym opiniom utrzymują, że handel zagraniczny głównych krajów pozostaje do handlu wewnętrznego w mniej więcej tym samym co dawniej stosunku. Ale temu nikt nie zaprzecza, że w granicach handlu zewnętrznego bez porównania większym jest udział towarów, transportowanych drogą morską. Dawniej wymiana międzynarodowa była przede wszystkim wymianą sąsiedzką. Odległość panowała nad człowiekiem. Dziś człowiek panuje nad odległością. Dzisiaj zależność od innych części świata wzrasta coraz bardziej, w związku z tem, że do coraz większego znaczenia dochodzą nowe światy, do których dostęp jest jedynie możliwy albo jedynie dogodny za pomocą drogi morskiej.

Przeważny udział handlu morskiego da się stwierdzić statystycznie. Widzimy, że nawet kraje o wybitnie kontynentalnym

charakterze dokonują swoich obrotów drogą morską. Tak np. odcięta od wielkich ognisk handlu morskiego Rosya mimo to morzem przesyła 65% ogółu towarów, znajdujących się w jej obrocie zagranicznym, w Niemczech na handel morski przypada 70% (w Stanach Zjednoczonych 94%). Ten udział handlu morskiego wzrasta nieustannie, jest tem wyższy, na im wyższe stadyum rozwoju gospodarczego wznosi się pewien naród.

Jest jeszcze jeden czynnik, który potęguje znaczenie komunikacyjne dostępu do morza. Jest nim wzrost doniosłości wewnętrznych dróg wodnych, to znaczy obrotu, dokonywanego rzekami spławnymi i kanałami. Przez długi czas żyliśmy, o ile chodzi o komunikację wewnętrzną, w okresie ogromnej przewagi kolei żelaznej. Przyszedł czas gorączkowego, może nawet zbyt gorączkowego budowania tych dróg. Ale obecnie doszło do tego, że koleje żelazne właśnie dla swojego uzupełnienia wymagają racjonalnego zorganizowania wewnętrznych dróg wodnych. Koleje dzisiaj, przy zwiększonych kosztach budowy i eksploatacyi, nie są w stanie podołać olbrzymiemu obrotowi wytworów produkcyi masowej i jej surowców, wymagają one odciążenia przez regulację spławnych rzek i budowę kanałów wodnych. A te rzeki uchodzą do morza i sztuczne kanały też zazwyczaj szukają z niem połączenia; to też zależy bardzo na tem, by to połączenie było bezpośrednie, by sieć rzek i kanałów zrastała się z własnem morzem.

Jest więc szereg czynników, które w ostatnich czasach potęgują znaczenia dostępu do morza. Ale przedewszystkiem jest jeden czynnik, który działa zawsze, bez względu na stadyum rozwoju gospodarczego i stan środków komunikacyjnych. Granica morska tem się wyróżnia od granicy lądowej, że przy pierwszej sąsiaduje się z całym światem, przy drugiej tylko z jednym, najbliższym sąsiadem. Morze jest jednym z najpotężniejszych czynników, który łączy narody z sobą, który daje im wielką swobodę w utrzymywaniu wzajemnych stosunków. Wypływa to z istoty wolności morza, która istniała już na długo przedtem, nim pojęcie *mare liberum* określiło dokładnie prawo międzynarodowe i nim przepisy tego prawo zaczęto naruszać. Wolność mórz może podlegać najrozmaitszym ograniczeniom, może przejściowo jakaś potęga morska steroryzować obrót międzynarodowy, może uzyskać nawet do pewnych granic monopol transportu morskiego. To wszystko nie jest w stanie zatrzeć zasadniczej różnicy polityczno-

gospodarczej między granicą lądową a granicą morską. Otwarte morze nigdy na stałe nie będzie należało do nikogo, nie da się rozdzielić na kawałki jak kraj podbity, zawsze będzie terenem, na którym wszyscy mogą się poruszać z większą lub mniejszą swobodą.

Znanem jest dobrze zdanie Fryderyka Lista, który zauważył, że „kto posiada środki komunikacyjne jakiegoś kraju, ten panuje nad tym krajem“. A opanować środki komunikacyjne jakiegoś kraju można w dwojaki sposób. Albo się je finansowo lub politycznie wprost weźmie w swoje ręce, jak to postępują państwa europejskie na wschodzie bliskim i dalekim i w wielu innych krajach, albo też uzyskuje się tę przewagę przez sąsiedztwo z krajem słabszym, który nie ma wolnego dostępu do morza. Wtedy cała polityka handlowa tego ostatniego kraju zdana jest na łaskę i niełaskę możniejszego sąsiada. Każdy towar przechodzi przez granice silniejszego państwa, które może nakładać na niego dowolne cła, może powstrzymać tą drogą jego stosunki z innym i skierować je w odmienną stronę. Silniejsze państwo zawsze będzie dążyło do tego, by tę przewagę wyzyskać w pożądanym dla siebie kierunku; wzajemian za ustępstwa gospodarcze będzie wymagało ustępstw natury politycznej, tak, że samodzielność państwa, pozbawionego drogi morskiej, może się stać tylko nominalna. Niekoniecznie granica morska musi być bardzo rozległa: jak słusznie mówi jeden z współczesnych geografów, K. Hassert, „nawet najwęższy skrawek wybrzeża otwiera drogę do oceanu, łączącego wszystkie kraje i ludy i przez to do całego świata, i posiadanie jednego tylko portu (np. Wenecya, Genua, Lubeka) czyni państwo samodzielnem pod względem gospodarczym i umożliwia mu powiązanie wielostronnych stosunków z wszystkimi lądami stałego świata“.

Morze z jednej strony łączy z sobą odległe nawet narody; z drugiej strony ono dzieli od siebie te narody wtedy, gdy tego zachodzi potrzeba, o wiele lepiej niż bardzo nawet trudna do pokonania granica lądowa. Niesłuchanie doniosłe znaczenie ma dla państwa dobra granica strategiczna. Zwłaszcza doniosłą jest ta rzecz dla mniejszego państwa, które dla zabezpieczenia samodzielności swojego bytu nie może liczyć w całości na własne siły, a musi uciekać się do pomocy natury. Kraj mały, otoczony silniejszymi sąsiadami, nie może walczyć na cztery strony świata. Koniecznem jest dla niego oparcie o morze, które, jak tego do-



wodzą doświadczenia obecnej wojny, stanowi doskonałą obronę. Nawet mała i słabo wyposażona armia może bronić się przed przewagą nieprzyjaciela, który próbuje wylądować na wybrzeżu. A ponadto drogą morską może przyjść na pomoc sprzymierzeniec, któryby był bezużytecznym, gdyby się musiał przedzierać przez kraj nieprzyjacielski. Korzyści, które ciągnęła np. Wielka Brytania ze swojego wyspiarskiego położenia, uważane przez wielu Anglików za podstawę potęgi tego państwa, stają się choć w części udziałem każdego kraju położonego nad morzem.

Granica morska ma nietylko strategiczne zalety. Jest ona bardzo wielkiem ułatwieniem dla polityki celnej. Jednym z głównych argumentów przeciw protekcyonizmowi jest zarzut, że nadzór nad dowozem z zagranicy i wywozem z kraju jest zbyt kosztownym i uciążliwym, że pochłania za dużo sił ludzkich i kapitałów w sposób zupełnie nieproduktywny. Otóż zorganizowanie linii celnej jest o wiele łatwiejsze wtedy, gdy się ma do czynienia z granicą morską, aniżeli z granicą lądową. W pierwszym wypadku, kiedy cały obrót odbywa się przez parę tylko nadmorskich portów, potrzeba stosunkowo mniejszej liczby urzędników celnych i łatwiej jest przeprowadzić kontrolę nad obrotem towarów. Korzystają w pełni z tego ułatwienia Stany Zjednoczone Ameryki Północnej, uprawiające oddawna politykę wybitnie protekcyjnistyczną. To też w Stanach Zjednoczonych nie powołuje się nikt na koszty ochrony celnej i jej trudności, jako na stanowczy argument, przemawiający przeciw systemowi protekcyjnemu.

Niemal wszystkie narody, które odegrały wybitniejszą rolę historyczną, zrozumiały znaczenie dostępu do morza. Albo państwo, odcięte od morskiej drogi, zdobyło sobie ten dostęp, albo też naodwrot kraj, leżący na wybrzeżu, zdołał zaanektować wnętrze lądu i przyłączyć je do swojego terytorium. Dzisiaj w wojnach i wogóle międzynarodowem współzawodnictwie nie tyle chodzi o sam dostęp do morza, ile o uzyskanie dobrych portów, ważnych pod względem handlowym stanowisk nadmorskich, słowem, o rozszerzenie i umocnienie dostępu do morza. I dziś celem wojen są takie punkty, jak Konstantynopol, Saloniki, Tsingtau, Tryest, Antwerpia.

Ale prócz państw, które znakomicie zrozumiały znaczenie drogi morskiej, znane są z dziejów i takie, które miały sposobność usadowienia się na trwałe na jakimś wybrzeżu, a pominęły tę

sposobność. Dawne państwo litewskie naprzykład zbliżyło się do Bałtyku, ale nie opanowało wybrzeża. Polska była w szczęśliwszem położeniu, ale trzeba ze smutkiem wyznać, nie umiała utrwalić i pomnożyć dziedzictwa Bolesława Chrobrego. Przegrała ostatecznie walkę o Bałtyk, choć można ją było wygrać, pozbawiła się, jak się pięknie wyraża M. Bobrzyński, „powietrza, światła i ruchu“. Znaczenie Gdańska, odzyskanego w pokoju toruńskim w r. 1454, oceniono w Polsce tylko ze stanowiska handlowego, za mało było dążeń do państwowego opanowania Bałtyku. Pozwolono Gdańskowi prowadzić własną politykę, która nieraz była sprzeczna z interesem Rzeczypospolitej.

Nie potrzeba tu gromadzić innych przykładów historycznych. Wystarczy przyrzeć się dzisiejszemu stanowi rzeczy. Dzisiaj jest ledwo kilka samodzielnych państw na świecie, które nie mają dostępu do morza. Ich położenie żadną miarą nie może być uważane za normalne. Nie miała tego dostępu Serbia i jej los obecny jest dobrze znany. Serbia marzyła o dostępie do morza, o zdobyciu dobrych portów nad Adryatykiem. Konieczność uzyskania tej drogi wykazywali parokrotnie przed wojną serbscy publicyści i ekonomiści. Drugim i ostatniem udzielnem państwem europejskim, które nie ma własnego wybrzeża morskiego, jest Szwajcaria. Jej położenie i charakter są pod każdym względem wyjątkowe. Podkreślano niejednokrotnie, że kraj ten wysokim górom

zawdzięcza swoją samodzielność. Nie wytworzyła się jednak w tym kraju wybitniejsza i na wszystko odporna wspólność narodowa, obecne przesilenie wojenne wystawiło go na ciężką próbę, budząc w nim odśrodkowe dążności w trzy różne strony. Poza Europą jest parę państw, otoczonych zewsząd granicą lądową. W południowej Ameryce istnieją dwie niewielkie republiki, położone wewnątrz kontynentu: Boliwia i Paraguay, których rozwój wewnętrzny nie może służyć za wzór rozwoju państwa nowożytnego; prawdopodobnie zostaną one wchłonięte, wcześniej czy później, przez któregoś z potężniejszych sąsiadów. W Azji mamy wiele przykładów, jak potęga europejska, posuwająca się od wybrzeża morskiego, podbija stopniowo znajdujące się wewnątrz lądu państwa i państewka udzielne. Tak się stało z wszystkimi państwami w Indiach Przedgangesowych, taki los spotyka obecnie nominalnie niezależny Afganistan. Prawdopodobnie ta kolej rzeczy nie ominie wcześniej czy później jednego z nielicznych afrykańskich państw udzielnych, położonego wewnątrz kontynentu — cesarstwa Abissynii.

W świetle tych faktów widzimy jasno, że narody, które dążyły do morza, nie powodowały się jakąś żądzą przygód, jakąś żylką awanturniczą, lecz kierował nimi instynkt samozachowawczy, który wskazywał, że dostęp do morza jest zasadniczą podstawą ich państwowej samodzielności. I to dążenie do morza nie słabnie a potężnieje, i dziś jest jednym z upragnionych celów politycznych. I szczęśliwe są te narody, które usadowiły się odrazu nad morzem, a dzisiaj już tylko rozszerzają i umacniają swoje panowanie. Ale szczęśliwe będą i te narody, które nieprzyjaznem zrzędzeniem losów odsunięte od morza, znajdą z czasem do niego dostęp i tak jak ów strudzony i znękany długą wędrówką zastęp greckich wojowników w „Anabasis“ Xenofonta, zawołają z radością: „thalatta, thalatta!“

*Roman Rybarski.*

## Udział kozaków w odsieczy Wiednia w r. 1683.

31. marca 1683 r. zawarte zostało przymierze między Cesarzem Leopoldem a Królem Janem III., mocą którego wojska Cesarza niemieckiego i króla polskiego miały się połączyć ku wspólnej obronie na wypadek oblężenia Wiednia lub Krakowa przez Turków. Oba sąsiadujące wówczas ze sobą państwa oczekiwały wypowiedzenia wojny ze strony Turcyi. Zawarte przymierze było zaprzysiężone przed Papieżem przez kardynałów Piusa i Berberiniego.

Austria obawiała się wówczas wtargnięcia potęgi tureckiej w głąb swego państwa, a Rzpta polska dążyła do wyrwania z rąk Turcyi reszty Podola i odebrania Kamiieńca, co dopiero nastąpiło po traktacie Karłowickim w r. 1699.

Turcyja nie przyjęła propozycyi posła cesarskiego odnowienia kończącego się 20-letniego przymierza. „Dnia 2 księżycy szaa-bàu“ przeto wywieszony został buńczuk Padyszacha, jako znak wypowiedzianej wojny, a 19. lutego 1683 r. wyruszył Sułtan z całym dworem z Adrianopola na Belgrad. 2. lipca zatoczono obóz pod Wiedniem.

### I.

Nie mamy zamiaru opisywania w tem miejscu Potrzeby Wiedeńskiej. Ciekawy czytelnik znajdzie ją szczegółowo opisaną w Dyaryuszach polskich, w dziełach rozmaitych autorów, jakoteż w aktach i dokumentach dotychczas wydanych. Pragniemy tylko zwrócić uwagę na udział kozaków w wyprawie Wiedeńskiej.

Kozaczyzna Kijowskiej Ukrainy, jak nazywano część Rusi z prawej strony Dniepru leżącą, która traktatem Andruszowskim

(1667 r.) wróciła do Rzptej polskiej po zrzeczeniu się hetmaństwa przez Piotra Doroszenkę (1676 r.) i stałem osiedleniu się jego pod Moskwą, gdzie otrzymał „pomiest’je“ od Aleksieja Michajłowicza, już prawie nie istniała. Resztki niedobitków dobrowolnie przeszły na stronę Moskwy, dokąd ich ciągnęły wspólność wyznania „prawosławnego“ i obfite podarunki Carów. Po śmierci Hohola (1679), który przechodził kolejno od Rzptej do Moskwy, od Moskwy do Turcyi, od Turcyi znowu do Moskwy, aż wrócił nareszcie do Rzptej polskiej, gdzie życie zakończył na tytularnem hetmaństwie, Kozaczyzna wygasła, jak ogień przetlały. Resztki jej, w kupy swawolne złączone, bawiły się rozbojem i rabunkiem. Kijowszczyzna na południe od Kijowa, cała Braclawszczyzna i część Podola były jedną masą ruin i zgliszcz, popielisk i pustek, zasianych bielejącymi kośćmi ludzi i zwierząt. Taki był ostateczny rezultat podania się Piotra Doroszenki Turcyi.

Ten straszny okres zniszczenia kraju, „płynącego mlekiem i miodem“ przed wojną Chmielnickiego, lud nazwał Ruiną<sup>1)</sup>. Schroniła się tylko Kozaczyzna w niewielkim kącie północnej Kijowszczyzny, w tak zwanem Polesiu Kijowskiem — w Owrucyźnie. Mała mieścina Dymir, siedziba niegdyś rozmaitych „pułkowników“ kozackich z ramienia Rzptej i przytulisko chwilowych hetmanów, stała się poniekąd ośrodkiem Kozaczyzny prawobrzeżnej. Garstka kozaków, przeobrażona w milicję, siedząca w Dymirze pod dowództwem „pułkowników“ Mirona i Urbanowicza, była klęską Polesia, wynajmując się każdemu za pieniądze do rabunku, rozbojów i najazdów. Słowem, dzięki pustyni nad Dnieprem, w starych macierzystych siedzibach, Kozaczyzna zawichrzyła całem Polesiem w sposób niesłychany. Wynajmowali ich do rozbojów i zajazdów Brzescy, Lubienieccy, Niemiryce, Terleccy, Charłęscy, a najzuchwalszy z nich, Karol Tyszkiewicz, „pułkownik kozacki“, stał się postrachem szlachty miejscowej<sup>2)</sup>. Dwory szlachty, cerkwie, kościoły, klasztory — wszystko to dosięgała rabownicza ręka kozacka. Padł ofiarą ich chciwości bogaty klasztor Karmelitów w Olewsku. Teodor Niemirycz (spólników pomijam), wynajawszy

<sup>1)</sup> Szczegóły znajdzie czytelnik: Joann Łukjanow — Putieszestwije w Swiatuju zemlu, str. 16; Lietopiś Wieliczka, t. I., str. 4. n. n.: Kulisz: Zapiski o Jużnoj Rusi, t. I., str. 83. Nie wyliczam wielu innych źródeł.

<sup>2)</sup> Szczegóły: Archiw Jugo — Zapadnoj Rossii, część III., tom II. Kijów 1868.

sobie kilkuset Kozaków, gdy mnisi nie chcieli mu oddać kluczy od kościoła, drzwi kazał odbić, klasztor kozakami otoczył, którzy, zrabowawszy, co się dało, przed drzwiami ogień rozłożyli, „a w kościele, trybem swoim kozackim, korzeń alias kordygarde założyli ryzsztunki po ścianach pozawieszawszy, koczowali“. Zakonników zepchnęli do wody, a „po wsiach niesłychane opresye poddanym czynili“<sup>1)</sup>. Nie będziemy mnożyć przykładów kozackiego barbarzyństwa. G'woli hultajskiej swawoli, byli oni krwawym biczem dla ludności miejscowej, których za gorzałkę i lichy pieniądz wynajmowano do niszczenia własnych współbraci.

A jednak nie da się zaprzeczyć, że w tej samej dzikości kozackiej, w ich zuchwałej a niepohamowanej swawoli tkwiły szlachetne pierwiastki żołnierskiej odwagi i roztropności. Brak mocnej a równej i jednostajnej władzy w Rzptej uniemożliwił zużytkowanie tej siły moralnej kozactwa, marnującej się w rękach najemniczych.

Sobieski, jako sam żołnierz przede wszystkim, umiał cenić wysokie zalety kozaków i do końca swego życia nie przestał się ludzi możliwością zużytkowania ich na korzyść Rzptej, ale nie chciał widzieć, że siłę anarchiczną kozactwa Moskwa utrzymywała w porządku — siłą tylko.

Marzyciel na punkcie zwycięstwa Chrześcijaństwa nad światem muzułmańskim, upatrzwszy w tem zwycięstwie sławę własną i narodu polskiego, Sobieski opanowany był zupełnie ideą wojny z Turcyą. Chodziło mu także o odebranie Kamieńca i Podola. Ogarnięty ulubioną swoją ideą, poza Turcyą nie widział wrogów Rzptej. Pomimo paktów Andruszowskich, nie przeszkadzał Moskwie intrygować w Ukrainie Kijowskiej, walczyć z Doroszenkiem na terytorjum Rzptej, zawierać nową ugodę w Perejasławiu kozaków i Kozaczyny prawobrzeżnej, a więc polskiej, z rządem obcego państwa, nie odebrał Kijowa, przeciwnie, ustąpił go, aby mieć wolne ręce na zachodzie, aż doszło do tego, że Turcyą i Moskwa traktatem w Bakczyseraju (1681 r.) postanowiły, ażeby „od Kijowa aż do Zaporoża z obu stron Dniepru horodów i horodków nie budować“, — wkraczały zatem bezkarnie na terytorjum Rzeczypospolitej<sup>2)</sup>.

<sup>1)</sup> *ibid.* str. 16.

<sup>2)</sup> *Поіноје собранје Законow itd. T. II., 389.*

Tak więc, gdy Rzpta była bezbronna od wrogów wewnętrznych i sąsiadów od wschodu, Jan III. zawarł przymierze z Cesarzem Leopoldem dla wspólnej obrony Chrześcijaństwa.

## II.

Kości były rzucone. Jan III. wyruszył pod Wiedeń.

Pragnąc w ucziwej wojnie zużytkować ten niesforny, awanturniczy żywioł kozacki, jaki się jeszcze miotał w Owruczyźnie i licząc na jego pomoc w potrzebie Wiedeńskiej, Sobieski polecił zwerbować oddział kozacki z 3000 żołnierza najwyżej. Nuncyusz papieski Pallavicini gorąco zajął się sfinansowaniem, że tak powiem, tej sprawy. Głównymi organizatorami tego ochotniczego kozackiego oddziału byli Mężyński i Maksymilian Bułyha, a moralny niejako protektorat opierał się o Maryę Kazimierę, żonę Jana III., która informowała męża o postępie werbunku. Stanisław Jabłonowski, wojewoda, generał Ziem Ruskich i Hetman Wielki Kor. polecił Maksymilianowi Bułyże, noszącemu głośny tytuł „pułkownika wojska Jego Królewskiej Mości i Rzeczypospolitej Zaporozkiego“, ażeby w Owruczyźnie zaciągnął kozaków, t. j. „ludzi rycerskich z samopałami, muszkietami“ i ruszył z nimi natychmiast z Owrucza pod Lwów, tak aby na dzień 15. sierpnia na miejscu stanął. List przepowiedni był wydany ze Lwowa 16. lipca 1683 roku<sup>1)</sup>.

Biorąc na uwagę, że miało być zwerbowanych 3000 kozaków i że, jak obaczymy, w ciągu opowiadania wypadnie potrącić o nazwiska różnych „pułkowników“, przypuścić należy, że i tamci otrzymali również listy przepowiednie. Głównym zaś organizatorem tej kozackiej wolnicy był wspomniany już Mężyński, o którym nie wiele da się powiedzieć, tyle chyba, że był mężem zaufania zarówno nuncjusza Pallaviciniego jak i Sobieskiego. Nosił on tytuł „Starszego“, ustalony tradycją rejestrowego kozactwa. Zbierano tę drużynę najemną, gdzie się dało, sięgano nawet na Zadnieprze, ale to do szkicu naszego nie należy, — dość że werbunek szedł bardzo powoli<sup>2)</sup>. Od daty znanego nam listu przepowiedniego, wydanego Bułyże, upłynęło prawie pełnych dwa miesiące, a zebrało

<sup>1)</sup> A. J. Z. R., część III., t. II., str. 39, 40.

<sup>2)</sup> List Maryi Kazimiery do Króla z Krakowa 3. października 1683 r.

się zaledwie 1500. Tymczasem Mężyński miał otrzymać na cały zaciąg, z 3000 tysięcy złożony, 30.000 liwrów<sup>1)</sup>. Kozacy uskarżali się, że otrzymali bardzo mało, ale wiedzieli o tem, że Nuncyusz wypłacił im żołd na ręce Mężyńskiego na cały rok. Nie chcieli przeto ruszyć się z miejsca, żądając zaliczki za dwa miesiące i skarżąc się, że nie będą mieli o czem wyżywić się. Musiano im wypłacić. Wdała się w tę sprawę Marya Kazimiera, obiecując solennie Pallavicini'emu, że pieniądze będą mu zwrócone. Dwaj pułkownicy kozacy, których nazwiska poraz pierwszy spotykamy, Darowski i Iskrzycki — znany z późniejszych awantur Iskra — skupiwszy się ze swymi zaciągami we Lwowie, obiecywali dniem i nocą iść, ażeby w Krakowie stanąć około 26. sierpnia. I ci uskarżali się na Mężyńskiego, że nic nie zostawił we Lwowie, ani polecenia, dokąd mają iść, ani pieniędzy na drogę. Marya Kazimiera z wielkim trudem zdołała wydobyć dla nich pieniądze<sup>2)</sup>.

Mimo wszystko ochotnicy kozacy ściągali się do Krakowa. 3. października było ich już około 2500. Pod imieniem kozaków zbiegali się poprostu awanturnicy, tak samo jak niegdyś pod sztandary fałszywych Dymitrów i pod chorągwie Lisowczyków. Wojna była dla nich środkiem do życia. Tłoczyli się w te szeregi Polacy i Kozacy „z wszech stron“ (de toute part)<sup>3)</sup>. Skupiona w jednym miejscu ta masa różnorodna nie wiedziała dokładnie, dokąd się ma udać i czekała na rozkaz. Narzekano na Mężyńskiego powszechnie. Skargi te dochodziły do uszu królowej i drażniły ją. „Ten nieuczciwy człowiek nie zostawił (kozakom) pieniędzy ani na barwę, ani na wozy, ani na strzelby, ani na oręż“. A Nuncyusz był bardzo twardym na punkcie pieniędzy („est fort difficile là dessus“), upierał się, że żołd wypłacił i żądał, aby komisarz — tak tytułowano również Mężyńskiego — zdał rachunek.

1) „Le dit Menszyński dit à Mr. le Nonce (Pallavicini) et Mr. de Cracovie (Stanisław Jabłonowski) qu'il laissait ici 30.000 livres auprès de moi et Msgr. de Kiovie (Andrzej Chryzostom Załuski, biskup Kijowski, Sekretarz W. Kor.). Il dit qu'il a laissait à Ossowski; et ni l'un ni l'autre n'avons pas oui parler de lui, car il est parti sans me voir“. List Maryi Kazimiery do Króla 24. września 1683.

2) W tym-że liście: „qui ai toutes les peines du monde à tirer de l'argent de Nonce“.

3) „Ils sont bien — — — tant Polonais que cosaques“. (List Maryi Kazimiery do Króla 3. października 1683.



Zdawało się, że o Mężyńskim słuch zaginął. Trzeba było koniecznie naznaczyć tej zbieraninie nowego „Starszego“. Marya Kazimiera godność tę ofiarowała Myśliszewskiemu <sup>1)</sup>. Ponieważ jednak stanowisko to było przeznaczone przez Jana III. Mężyńskiemu, Myśliszewski wzdragał się je przyjąć, aby nie działać wbrew woli królewskiej, zgodził się wreszcie objąć te obowiązki nie tylko na wyraźne życzenie królowej, ale i na zapewnienie, że króla o tem zawiadomi. Okazało się to tembardziej koniecznem, że ta zbieranina polsko-kozacka narzekała głośno na Mężyńskiego, że, zabrawszy pieniądze, przeznaczone dla nich, umknął <sup>2)</sup>.

Tak do początku października 1683 roku stały rzeczy z oddziałem ochotniczym Kozaków, który według przepowiednich listów, wydanych różnym pułkownikom kozackim w połowie lipca, miał podążyć z Janem III. pod Wiedeń. Oczywiście rzecz, że skoro w końcu września gros tego oddziału znajdowało się we Lwowie, nie mógł on brać najmniejszego udziału w odsieczy Wiednia. Jak z listów Sobieskiego dowiemy się, była tam wszakże garstka kozaków, która pełniła służbę, nie zawsze rycerską. Prześledzimy nadzieje Króla, jego niepokój i rozczarowania od wyruszenia pod Wiedeń aż do późnej jesieni.

### III.

Jan III. spieszył pod Wiedeń. 25. sierpnia był w Opawie, 27. minął Ołomuniec, 29. Berno. Pośpiech był potrzebny bardzo. Już w Ołomuńcu król otrzymał list od Staremberka <sup>3)</sup>, komendanta Wiednia, z prośbą o sukurs, „bo już nieprzyjacieli w jednym z nimi siedzi rawalinie, a idzie ziemią podkopem, tak że go nasi (niemieccy) minerowie czują“. Zbliżała się chwila stanowcza. Sobieski coraz bardziej niepokoił się ociąganiem się przybycia ochotników kozackich, tembardziej, że nie wiedział, jak rzeczy stoją w kraju. Z pod Berna pisał tedy do żony: „co tam słyhać o ko-

<sup>1)</sup> Będzie to zapewne Jan Michał Myśliszewski, chorąży Czernichowski od roku 1674.

<sup>2)</sup> „— — — parmi les dits cosaques il y avait quelque bruit contre leur Starszy, qui disaient toujours, qu'il avait assurément touché, ce qui leur est dû par leur capitulation“. (Marya Kazimiera do Króla z 3. października 1683 r.).

<sup>3)</sup> List do żony z pod Berna, ze wsi Modric, 29. sierpnia 1683.

zakach, oznajmić mi, a poganiać ich za mną, powiedziawszy pa-  
cierz p. Mężyńskiemu, że mi się ani razu nie odezwał“<sup>1)</sup>.

Czekał ich przybycia lada dzień i niepokoił się oczekiwa-  
niem, tembardziej, że jakieś niedobre, a niewyraźne dobiegały do  
niego wieści. Zywert, „postmajster lwowski“, donosił mu wpraw-  
dzie, że Mężyński jest we Lwowie, że obiecuje sam o „wszyst-  
kiem“ napisać, ale „postmajster“ ani słowa od siebie nie dodał,  
o co się mocno gniewa Król. „Zły człowiek Mężyński — pisze do  
żony „ultima Augusti“ — już był we Lwowie, a najmniejszej nie  
pisze litery o kozakach i co sprawił w Ukrainie“. Tak był za-  
przątnięty myślą o kozakach, tak wielkie na nich nadzieje po-  
kładał, a spotykał go straszny zawód u wrót Wiednia prawie —  
kozaków nie było. „Ja nie dbam o nikogo — spowiadał się przed  
żoną — jeno o samych kozaków, do których nieraz przez dzień  
westchnę. Łożywszy tak wielki koszt na nich, a nie mieć ich  
na sam czas, jeśli jest supportable, racz Wasza Mość  
s(erce) m(oje) uważać. Tych tedy jednych kozaków popychać,  
jeśli nadejdą, i pod tych wozy dawać“<sup>2)</sup>.

Wiedział dobrze, że kozak, jako żołnierz lekko uzbrojony,  
a do utarczek podjazdowych nawykły, w służbie wywiadowczej  
był niezastąpiony. Jeszcze dni kilka, a miał stanąć w obliczu nie-  
przyjaciela — a kozaków nie było.

Pod Tulumem poczęli już dygnitarze i księżęta zabiegać drogę  
Sobieskiemu. Przybyli do obozu Króla „X-że Lotaryński, Waldek,  
Auszperk, młodzi Montekukulowie“<sup>3)</sup>. Radość była wielka. „Nie-  
podobna wyrazić takiej wesołości, takiego ukontentowania — pisał  
do żony — jako ci ludzie pokazowali. Vivat ustawicznie, wyno-  
szenie nas jusqu'aux nues, tam jeszcze gdzieś wyżej pod nie-  
biosą“. „Absolument w najmniejszej rzeczy chcą słuchać ordy-  
nansów“ do chwili stanowczego zwycięstwa. Wszyscy oświad-  
czali „z wielkiem ukontentowaniem, że (króla polskiego) będą  
mieli à leur tête“.

4. września wojsko polskie stanęło „u Dunajskiej przeprawy“,  
a nieprzyjaciel — o cztery mile tylko. „Vienne była fort pressée“ —

<sup>1)</sup> Zachowujemy pisownię nazwisk, używaną przez Sobieskiego. Był to Ernest Rydiger hr. Stahremberg, po odsieczy Wiednia Generał Feldmarszałek.

<sup>2)</sup> Do żony z Heiligenbron, ultima Augusti.

<sup>3)</sup> Zachowujemy oryginalną pisownię Sobieskiego.

zawiadomił Sobieski żonę. Sprawa rychłego przybycia kozaków pod Wiedeń bardzo żywo obchodziła Króla i była przedmiotem korespondencji. W jednym z niedoszłych do nas listów Maryi Kaziemierzy do męża musiała być radosna wiadomość, że kozacy już może są pod Wiedniem. Wiadomość tę prostuje Król listem z 9. września: „z Apostołem mi masz kozaków nad półtora sta“, a następnie wyjaśnia, jakiej kategorii są ci kozacy: „są to ludzie pana Wojewody Wołyńskiego (Jana Stadnickiego)“, a zatem była to prywatna lekka chorągiew kozacka, na żołdzie Wojewody, nie mająca nic wspólnego ani z ochotnikami, zaciągany pod starszeństwo Meżyńskiego, ani tembardziej z prawdziwymi kozakami, gdyż dopiero w r. 1685, a zatem we dwa lata prawie po odsieczy Wiedeńskiej, Jan III. osobną konstytucją użył skłać wznowienie kozaczyzny <sup>1)</sup>.

W przededniu odsieczy Wiedeńskiej, w liście pisanym „z góry Kalemberg“, „nad obozem tureckim“, „12. września o 3-ej przededniu“, Sobieski krótko notuje: „bydeł im (Turkom) moja dragonia i kozacy nie mało zabrali“. Jest to świadectwem, jakiego rodzaju służbę pełnili owi „ludzie Wojewody Wołyńskiego“. Napisawszy to, Król dodaje: „o Meżyński, Meżyński!“ — nic więcej. Do ostatniej chwili czekał zatem przybycia ochotniczego oddziału kozaków — i nie doczekał się.

Następnego dnia, 13. września, stoczoną została ta wielka bitwa, która nie tylko obroniła Wiedeń od Turków, ale państwo od katastrofy i stała się początkiem złamania potęgi Ottomańskiej w Europie. Dzień ten stał się dniem wielkiego tryumfu Króla. „Żołnierze, oficerowie i regimenty wszystkie kawaleryi i infanteryi — pisze do żony — wołały: ach, unser brave Kenik! Słuchali mię tak, jak nigdy nasi“. „Wszystko to całowało, obłapiało, swym salwatorem zwało. Sam lud wszystek pospolity całował mi ręce, nogi,

<sup>1)</sup> Słówko wyjaśnienia o „kozackich Apostołach“. Dwoch miała współczesna Sobieskiemu Kozaczyzna „Apostołów“. Jeden był pułkownikiem Mirhorodzkim, a zatem był pod dependencją hetmana Perejasławskiej Ukrainy, moskiewskiej części lewobrzeżnej, drugi nazywał się Paweł Apostoł Szczerowski, który mieszkał w Brahinie, tytułował się „pułkownikiem“ i opowiadał kozacką ewangelię, mordując i rabując każdego, kto się trafił (A. J. Z. R. Akty o kozakach, część III., str. 148., 212., 162. i in.). Prawdopodobnie ten właśnie Apostoł na czele lekkiej chorągwi kozaków Wojewody Wołyńskiego towarzyszył wojsku polskiemu aż pod Wiedeń.

suknie, drudzy mię tylko dotykali, wołając: ach, niech tę rękę tak waleczną całujemy!“ Ale niektórzy „krzywo na to patrzyli“. W liście „z namiotów wezyrskich“, pisanym po zwycięstwie, Jan Sobieski znalazł tylko słowa żalu z powodu nieobecności kozaków. Pod Wiedniem, po odsieczy, po świetnem zwycięstwie już mu byli niepotrzebni; napisał tylko krótko: „kozacy zdrajcy niechaj za mną idą“.

Tak więc, pod Wiedniem, w czasie wielkiej odsieczy, było tylko 150 „ludzi Wojewody Wołyńskiego“, których z tytułu i charakteru ich uzbrojenia zwano kozakami. Żadnych innych „kozaków“ nie było.

Dopiero 28. września znajdujemy wiadomość, że przybyli Mężyński i Worona, którzy w dalszą drogę wraz z Królem iść mieli. Spodziewano się wszakże przybycia jeszcze „pułkowników“ „Semena i innych“ — dodaje Sobieski — którzy mieli polecenie podążać „zwyczajną drogą za innymi“<sup>1)</sup>.

Ten zawód ze strony ochotników kozackich mocno dotknął Sobieskiego. Ale dopiero przybycie Mężyńskiego wyjaśniło przyczyny ociągania się i skarg na niego. Mężyński znał dobrze ten gatunek ludzi, którzy rwali się do wojny; byli to po największej części hultaje, pijacy, włóczęgi, zawalidrogi, dzielni jako żołnierze, ale niepewni jako ludzie. Domagali się oni pieniędzy — naprzód, na hulankę, Mężyński nie chciał wypłacić całego żołdu. „Tu w Polsce — powiadał — macie barwę, a tam w wojsku, u Króla, skoro

<sup>1)</sup> Sobieski do żony: „na insule Schütt, między Preszburkiem a Komorą pod San Peter, 28 Septembra“ (1683). Między „pułkownikami“ Król wymienia „Semena i innych“. Owym Semenem był niewątpliwie późniejszy awanturnik, siedzący w Fastowie, Palij. U pisarzy współczesnych i w aktach znajdujemy także nazwisko „Iwanowicz“, bez żadnych dodatków. Jest ono uformowane z imienia Iwan i odnosi się także do Palija, którego pełne nazwisko brzmiało: Semen Iwanowicz (syn Iwana) Palij. „Pośród pułkowników — pisze Włodzimierz Antonowicz — którzy osiedli w stepach za pozwoleniem Króla (Jana III.) wysunęli się na czoło Iskra, Samuś, Abazin i Palij. Iskra i Samuś (Iwanowicz) brali udział jako ochotnicy w pochodzie Sobieskiego pod Wiedeń. Zapewne w czasie tego pochodu zwrócili na siebie uwagę (istotnie!), a po powrocie otrzymali „przepowiedne listy na formowanie pułków ochotniczych“ (Sodierżanije aktow o kozakach na prawoj stronie Dniepra (1679--1716), str. 58., 59.). Nie mamy dowodów, ażeby Samusia można z Iwanowiczem utożsamiać.

Powyższa wzmianka Włodz. Antonowicza stała się niewątpliwie powodem rozpowszechnianej gorliwiej bajki o udziale Kozaków w odsieczy wiedeńskiej.

przyjdziecie, będziecie mieć pieniądze“. „Inaczej, gdyby byli w Polsce pobrali pieniądze, byłiby tedy z nimi nazad pouciekali“. Pokazało się, że Mężyzńskiego nadaremnie podejrzewano o nadużycia <sup>1)</sup>.

I z tymi kozakami, którzy po odsieczy Wiednia przyszli, Sobieski miał także kłopotu nie mało. Narazili go niejednokrotnie na zawód i przykrości. Stanąwszy 15. października nad Dunajem, naprzeciwko Strygonium, „próbowaliśmy — pisze — wody kozakami, aby byli na tamtej stronie co dobrego zrobili, a przynajmniej języka wzięli, ale to canaille i nie trzeba żadnego fundz czynić na nich. Przyznają się teraz sami, a osobliwie Worona, że to oni prostych chłopów zaciągali, nie kozaków, bo tak prędko kozaków dostać nie mogli. Żał się Boże tyle kosztu! Ludzie tylko ubogie, a jeszcze katolików i księży odzierają, a wina nabrawszy — sprzedają“.

Śnać mu hultajstwo kozackie dokuczyło nie mało, bo w pięć dni potem Sobieski jeszcze dosadniej wyraził się o kozakach. Miał już dosyć wrzekomej ich pomocy. „Co zaś do kozaków — skarżył się przed żoną — ci hultaje poltronowie niegodni, żeby o nich pomyśleć, nie tylko tak wiele pisać i o nich się turbować. Cokolwiek ich tam przybywać będzie, niech ich IMć Pan Krakowski <sup>2)</sup> u siebie zażyje, jako rozumie“ <sup>3)</sup>.

Przekonał się, że taka przygodna zbieranina, jaka towarzyszyła jego pochodowi, w regularnej wojnie jest nie pomocą, ale zawadą. Wrócił jednak do swojej myśli, ażeby za pomocą kozaków zrobić dywersję Turkom przez Wołoszczyznę. Radził tedy użyć zebranych już ochotników w tym kierunku. Do Nuncyusza także pisać nie omieszkał, aby na ten cel dał „ze sześćdziesiąt tysięcy, bo to jest ten czas, którego wieki czekały“.

21. października jeszcze nie wszystkie pułki kozackie ściągnęły się do Sobieskiego. Strażnik koronny <sup>4)</sup> pospieszył z resztą do Króla, ale już było po rozgromie Turków. „Bić się cale już nie mamy z kim — zawiadamiał Sobieski żonę — chyba gdyby

<sup>1)</sup> Sobieski do żony „na samem ruszeniu ku Parkanom“ 7 Octobris.

<sup>2)</sup> Stanisław Jabłonowski, Wojewoda Ruski, później Hetman Polny Koronny, kasztelan krakowski i Hetman Wielki koronny.

<sup>3)</sup> Do żony: 20 Octobris, „naprzeciwko Strygonium“.

<sup>4)</sup> Franciszek Wessel.

jaki zameczek zastąpił po drodze“<sup>1)</sup>. 5. listopada, kiedy nieprzyjaciel był już pobity, przyszli kozacy z krajczym koronnym<sup>2)</sup>.

Tak wyglądała w oświetleniu rzeczywistości nowożytna legenda kozacka o wrzekomym udziale w odsieczy Wiednia rozmaitych pułkowników kozackich.

\*  
\* \* \*

Dla zakończenia naszego szkicu dodać jeszcze należy słów kilka o tem, jak się rozbiły marzenia Sobieskiego co do zaatakowania Turków ze strony Wołoszczyzny. I tu cała akcja okazała się awanturniczą i spóźnioną.

Echa werbunku, zainicyowanego przez Mężynskiego, Bułyhę, Druszkewicza, kasztelana Lubaczewskiego, i innych, poruszyły masy włóczącego się po stepach kozactwa, niedobitków z rozgromów tureckich, moskiewskich i polskich. Szczególnie pojętną dla nich była wyprawa na Wołoszczyznę, owe „przepiórcze pole“, po którym uwijał się nigdyś Bohdan Chmielnicki, gdzie Tymoszko znalazł swoją Rozandę, kędy kozacy wodzili rozmaitych „hospodarczyków“. Zebrała się wataha kozacka około 8000 oczajduszów, na czele której stanął z tytułem hetmana zbiegły na Niż szlachcic lubelski Kunicki. W listopadzie 1683 roku w Raszkowie przeszedł przez Dniestr, hałasował się z Tatarami, spalił Tchinię (Bendery) i z niesłychanem okrucieństwem niszczył i rabował ułusy Budziackiej Ordy. W takim tryumfalnym pochodzie dotarł do Kili, gdzie zetknął się z Tatarami, uciekającymi z pod Wiednia. Rozgromiony przez Tatarów, w rękę ich zostawił cały obóz swój, naładowany zrabowaną zdobyczą, sam ratował się ucieczką do Mohyłowa nad Dniestrem, a stamtąd do Niemirowa, gdzie znalazł śmierć z ręki kozaków na początku 1684 r. Następcą jego został jakiś Mohyła, zwany także Mohylenkiem. Pochodził on z za Dnieprza, gdzie go znano dobrze. Samojłowicz nazywał go „durnym“, a Mazepa pisał o nim: „ten głupiec nie tylko pijany, ale i trzeźwy nie ma rozumu“. Kozacy, jak zawsze i ze wszystkiego, tak i z Mohyły byli niezadowoleni i pewnego dnia poczęli z nim rozprawę po kozacku: „nałożywszy mu sznur na szyję, włóczyli go po miasteczku“. Nie trudno domyślić się, jakby się była skończyła ta

<sup>1)</sup> Do żony: 21 Octobra „w samem Strigionium“.

<sup>2)</sup> Do żony: „nad rzeką nazwaną Ipol, pode wsią Szage, 5-e Novembre“

przymusowa przechadzka, ale Mołyła zdołał się wymknąć i schronił się na zamek.

Wyprawa ta na Wołoszczyznę zakończyła się powrotem całej watahy kozackiej za Dniepr „pod mocną rękę“ Carów Moskiewskich. Mołyła pozostał w Niemirowie, a później stał na czele garnizonu w fortecy św. Trójcy. Zdaje się, że tam zakończył swój żywot rycerski <sup>1)</sup>.

Zakopane.

*Fr. Rawita Gawroński.*

<sup>1)</sup> Szczegóły do tych wypadków (po odsieczy Wiedeńskiej), bardzo strezczonych w niniejszym szkicu, znajdzie czytelnik w następujących źródłach: Malinowski i Przeździecki — Źródła do dziejów polskich, T. II., 375 n. n.; Lietopis Wieliczka, T. II., 548 n. n.; Lietopis Samowidzca, str. 74; Zaluski: Epistolae historico-familiares, T. I., część 2.ga, str. 859. n. n.; Pamiętnik Paska — i w innych wydawnictwach.

## Młodzież z Królestwa a młodzież z Galicyi.

W roku 1910 ogłosiło Towarzystwo Biblioteki Medyków U. J. z współdziałaniem profesorów kwestyionaryusz, dotyczący życia młodzieży. Składał się on z następujących działów: Ogólne wiadomości o słuchaczu (skąd rodem, wykształcenie rodziców), o życiu jego w rodzinie, w szkole, o religii, literaturze, teatrze i sztuce, o życiu polityczno-społecznem, o studiach uniwersyteckich, warunkach ekonomicznych i higienicznych. Na kwestyionaryusz ten otrzymała Biblioteka 500 odpowiedzi, z czego 450 przypadało na odpowiedzi słuchaczy, reszta na słuchaczki. Materiał ten, bardzo szczegółowy i dokładny, został opracowany w ciągu paru lat przez pp. Eugeniusza Artwińskiego, Władysława Stryjeńskiego i niżej podpisanych i w niedługim czasie ukaże się w druku.

Bezwątpienia, materiał, tą drogą uzyskany, nie może być bezwzględnie wyczerpujący; nie obejmuje on całości młodzieży uniwersyteckiej tak, jakby to uczyniły odpowiednie wykazy statystyczne, niemniej jednak rzuca on charakterystyczne światło na psychikę młodzieży i to przedewszystkiem na te stony, które niedostępne wszelkiej urzędowej statystyce, dadzą się ująć tylko na podstawie wyznań samychże słuchaczy, okazujących po temu dobrą wolę. Sądzymy, że cała ankieta jest dowodem zbiorowej dobrej woli ze strony młodzieży — stwierdzamy także, że poraz pierwszy mamy do czynienia z materiałem tak szerokim, obfitym i różnorodnym. Były już co prawda nieraz ogłaszane ankiety na uniwersytetach polskich, ale poraz pierwszy materiał jest tak liczny, obejmuje tyle różnorodnych zagadnień, dotyczy wreszcie młodzieży ze wszystkich trzech zaborów<sup>1)</sup>. Ankieta zresztą szkolna jest powszechnie

<sup>1)</sup> Ankiety poprzednie dotyczyły przeważnie życia seksualnego. Ankieta obecna podzielona jest na dwie części, na t. zw. kwestyionaryusz ogólny (o życiu umysłowym i warunkach ekonomicznych) i dział seksualny, przyczem po raz pierwszy położono silny nacisk na dział pierwszy. Działy te opracowywano oddzielnie: korzystamy tu oczywiście tylko z pierwszej części.



uznanym i cenionym środkiem badań społecznych — tembardziej jest nią w Polsce, gdzie nienormalne warunki kształcenia się młodzieży winny zwrócić na się bacniejszą uwagę.

W opracowywaniu ankiety staraliśmy się unikać subiektywnych uwag, ograniczając się jedynie do możliwie obiektywnego oświetlenia danych cyfrowych, które przedewszystkiem uważamy za najcenniejszą treść pracy. Wszelkie zaś dalej idące wnioski — których tyle nastęrczała powyższa ankieta — powinny pozostać poza opracowaniem materiału, który przecież ludziom różnie myślącym różne może nasuwać pomysły. Stwierdzamy więc, że temat niniejszy nie jest częścią materiału ani jego opracowaniem, lecz zawiera pewne pomysły syntetyczne na podstawie materiału ankiety przez nas uzyskane; temat to zresztą podyktowany względami aktualnymi.

\* \* \*

Na Uniwersytecie Jagiellońskim w latach ostatnich, zwłaszcza po r. 1905, wyróżniały się wśród młodzieży dwa typy społeczne, t. zw. powszechnie „Królewaków“ i „Galileuszy“, które to typy niewątpliwie wyraźne, charakteryzowano w ten czy ów, mniej lub więcej słuszny sposób, starając się jednak raczej wartościować, aniżeli sięgnąć głębiej i analizować z punktu widzenia psychologii społecznej. A temat to niewątpliwie ciekawy, zwłaszcza obecnie, gdy przyszłe współżycie będzie musiało dążyć do zatarcia odrębności, latami wyrzeźbionych.

Cyfry ankiety pozwalają nam przedewszystkiem stwierdzić, że młodzież z Królestwa zajmuje się bardziej sprawami polityczno-społecznymi i jest elementem bardziej ruchliwym. Okazuje się, że nierównie więcej słuchaczy z Królestwa bierze udział w pracy politycznej, społecznej i oświatowo-kulturalnej; dalej, że naogół Królewiaczy zaczynają tę pracę znacznie wcześniej, nierzadko przed 16-tym rokiem życia, i wreszcie, prowadzą ją nierównie dłużej. W obliczeniu procentowem wypada na głowę lat pracy:

#### A. Panowanie rosyjskie:

	ogółem	mężczyzn	kobiet
pracy społecznej . . . . .	1·84	1·98	0·83
oświatowo-kulturalnej . . . . .	2·47	2·40	2·71
politycznej . . . . .	1·26	1·43	0·25

## B. Panowanie austriackie:

	ogółem	mężczyzn	kobiet
pracy społecznej . . . . .	0·66	0·68	0·37
oświatowo-kulturalnej . . . . .	1·24	1·24	1·25
politycznej . . . . .	0·48	0·52	0·06

Cyfry te bardzo jasno stwierdzają przewagę młodzieży z Królestwa, czyli raczej z pod całego panowania rosyjskiego na wszystkich polach pracy społecznej. Nie oznaczają one oczywiście, że każdy z odpowiadających pracował na gruncie dajmy nato krakowskim, lecz że wogóle pracował, że te zagadnienia dla niego istnieją i że czynnie w pracy się angażuje. Obie dziedziny kładą największy nacisk na pracę oświatowo-kulturalną, mniejszy na pracę społeczną i polityczną, zwłaszcza Galicya. Wśród słuchaczek wybijają się bezwzględnie na pierwszy plan prace oświatowa, przyczem jednak słuchaczki z Królestwa przewyższają więcej niż dwukrotnie swe galicyjskie koleżanki. O wydajności oczywiście pracy mówić tu naturalnie nie sposób; podobnie najrozmaiciej można się zapatrywać na wartość polityczno-społecznych przedsięwzięć młodzieży.

Co do przynależności do stronnictw politycznych, to stwierdzając, że młodzież z Królestwa daleko więcej pracuje w życiu partyjnym, podajemy procentowe cyfry <sup>1)</sup>:

	Młodzież z pod panowania	
	rosyjskiego	austriackiego
P. P. S. (Polska Partya Socjalistyczna)	58·4	2·3
S. D. (Socjalna Demokracja) . . . . .	14·6	27·3
N. D. (Narodowa Demokracja) . . . . .	25·0	36·3
N. Z. R. (Narodowy Związek Robotniczy)	2·0	
P. P. L. (Polska Partya Ludowa) . . . . .		18·2
P. D. (Postępowa Demokracja) . . . . .		11·4
Stronnictwa prawicowe . . . . .		4·5
	100%	100%

Podobnie z przeglądu sympatii stwierdzonych dla pewnych, nie tyle stronnictw, jak prądów ideowo-politycznych, okazuje się

<sup>1)</sup> Cyfry stosują się tylko do chrześcian. Stosunki między młodzieżą żydowską układają się zupełnie inaczej z powodu odmiennej konfiguracji partyjnej i przytaczanie odnośnych cyfr jest dla naszych celów zbyteczne.

większa przewaga radykalnych poglądów wśród młodzieży pochodzącej z zaboru rosyjskiego,

Obok tego skonstatować także należy, że drugi przeciwległy radykalny kierunek, mianowicie nadnarodowy, „ogólnoludzki“ też znajduje wśród Królewianów więcej zwolenników:

	narodowy	ogólnoludzki
panowanie rosyjskie . . . . .	55·3	44·7
„     austriackie . . . . .	70·7	29·3

Odpowiednio do większego zainteresowania się zagadnieniami społeczno-politycznymi młodzież z Królestwa tworzy znaczniejszy kontyngent stowarzyszeń akademickich, czy to samopomocy, czy też innych, co czyni również częściej ze względów ideowych.

Jaskrawo przebija się skrajność poglądów młodzieży z Kongresówki w dziedzinie religii, i tak jest chrześcijan:

	wierzących	niewierzących
panowanie rosyjskie . . . . .	22·5	77·5
„     austriackie . . . . .	47·5	52·5

Liczby te są wprost uderzające; podczas gdy w Galicyi cyfry wierzących i niewierzących mniejwięcej się równoważą, Królestwo wykazuje ogromną przewagę niewierzących.

Charakterystykę tę można dalej przeprowadzić na podstawie odpowiedzi działu „Literatura“ — bo przecież młodzież szkolna nie szuka książek — a chwyta te, które ma pod ręką, które zostaną jej świadomie czy bezwiednie przez starszych podsunęte. A jeżeli rozglądnie się za książką, to chodzi jej o znalezienie w niej rozstrzygnięcia na nurtujące ją zagadnienia. I tu mamy różnice.

Nie biorąc w rachubę poezyi, byletrystyki, podróży, które to działy same przez się nic nam nie mówią, otrzymujemy następujące zestawienie, w którym odsetki są obliczone w stosunku czytających pewien dział do ilości ogólnej młodzieży z pod panowania rosyjskiego czy austriackiego.

	Panowanie rosyjskie	panowanie austriackie
przyroda . . . . .	60·9%	49·4%
publicystyka . . . . .	42·0	37·0
psychologia . . . . .	32·9	44·0
filozofia . . . . .	34·9	49·5
ekonomia społeczna . . . . .	44·4	47·5

Młodzież więc z zaboru austriackiego czyta bardziej równomiernie, młodzież z pod zaboru rosyjskiego ma bardziej określone wymagania od książki. Pomijając na razie przyrodę, zauważymy, że interesują ją zagadnienia społeczno-ekonomiczne bardziej od filozoficznych, gdy w Galicyi stosunek ten jest wprost odwrotny.

Zdefiniować dokładniej tego, co czytają, nie sposób. Naogół odpowiadający „nie pamiętali“ i „nie zdawali sobie sprawy“, która książka wpłynęła na ukształtowanie ich poglądu na świat. Z tych nielicznych danych, któremi rozporządzamy, możemy orzec, że upodobania t. zw. Królewaków są radykalniejsze: pod względem religii: Renan, Bölsche, Radliński, Darwin, Haeckel; pod względem społecznym: Marks, Bebel, Buckle, Karejew, Kalthof, Kautsky, Spencer. Prócz tego prace Balickiego, Dmowskiego i Szczepanowskiego znajdują większe rzesze zwolenników.

Przyczyny takiego stanu są dość proste. Trzeba przecież mieć na uwadze, że młodzież galicyjska kształci się w szkołach i lektura jej pozaobowiązkowa rozszerza ramy jej światopoglądów, gdy młodzież Kongresówki i krajów zabranych uczy się poza szkołą; nie od profesorów zdobywa wiedzę, lecz z książek, które przebojem i z narażaniem się na kary zdobywa. Znajduje je zaś nie w bibliotekach publicznych i nie u starszych, lecz w kółkach tajnych o charakterze polityczno-oświatowym, gdzie rej wiedzą wybitniejsi, energiczniejsi koledzy, a tem samem w tym lub owym kierunku radykalniejsi, którzy poddają strawę duchowną młodszym i powolniejszym żywiłom.

Oprócz tego na lekturę wpłynęły warunki polityczno-ekonomiczne. Młodzież z zaboru rosyjskiego, nie mając otwartej drogi do urzędów, musiała z konieczności szukać zajęcia gdzieindziej; znajdowała je w zasobach gospodarczych kraju, poświęcając się rolnictwu i rzetelnej gospodarce na roli (gdy w Galicyi gospodarowanie na średnim i większym obszarze łączy się niejednokrotnie z szeroką i dużo czasu pochłaniającą pracą społeczno-polityczną)

czy też w przemyśle, który w Królestwie jest bardziej rozwinięty, niż w Galicyi. Jedno i drugie wymaga głębszego poznania nauk przyrodniczych i temu zawdzięczamy większy odsetek zajmujących się przyrodą w Królestwie niż w Galicyi.

Nie od rzeczy będzie wspomnieć o radykalniejszych poglądach filozoficzno-religijnych, pod wpływem których Królewski obalał Boga i wywyższał człowieka, a co za tem idzie, musiał poznać jego stanowisko w wszechświecie.

Zwrócić uwagę można jeszcze na korzystanie z poradników samokształcenia, które na ten dział kładły największy nacisk.

Dużo ciekawych danych dostarczają nam odpowiedzi dotyczące szkoły, „tej ogromnej rzeźni, w której dusze nasze przerażano na stosy wędlin, które mieliśmy spożywać przez resztę dni naszych“, jak pisze jeden z odpowiadających. Dział ten śmiało uznać można za jeden z najważniejszych; w życie akademickie wnosi każdy ze słuchaczy to, co mu daje szkoła i może w różnorodności typów szkoły i wytwarzanych w niej odrębnych środowiskach należałoby szukać powodów różnic, o których mowa.

Cyfry nasze oświetlają przedewszystkiem trzy główne typy szkół: szkołę polską prywatną w Królestwie, szkołę rządową rosyjską i szkołę rządową polską pod panowaniem austriackim. Dane z pod panowania pruskiego, aczkolwiek dość charakterystyczne wyborną zgodnością odpowiedzi, są jednak tak szczupłe, że możemy je tu pominąć, chcąc uniknąć zarzutu zbyt pośpiesznego wnioskowania.

Przedewszystkiem więc stwierdzamy, że stosunek do poszczególnych kategorii szkół, a to:

	do szkoły pryw. polskiej	rząd. rosyjskiej	rząd. austr.
jest przyjazny . . .	87·5	2·3	22·2
„ wrogi . . .	00·0	71·3	20·8
„ obojętny . . .	12·5	26·4	56·0

Uderza nas zaraz wybitna różnica między szkołą polską i rosyjską w Królestwie; szkoły galicyjskie przedstawiają się raczej bezbarwnie: procent wrogo odnoszących się do szkoły równoważy mniejwięcej procent przyjaznych, więcej zaś niż połowa odpowiadających stwierdza stosunek obojętny.

Rzecz to mniejwięcej wiadoma; szkoła prywatna polska, utrzymywana w znacznej części ofiarnymi wysiłkami młodzieży, którym

ta szkoła nie daje dostępu do kariery rządowej, dając jedynie i wyłącznie tak upragnioną naukę w języku rodzimym, musi być młodzieży drogą i stosunek do niej musi być przyjazny w przeciwieństwie do szkoły rządowej, obcej, wrogiej językiem, systemem, przewodnią myślą „obrusienja“. Szkoła galicyjska, jako szkoła, której nie utrzymywało się ciągłą walką, traktowana była raczej jako coś, co jest konieczne, co trzeba przebyć, ale czem nadto przejmować się nie warto.

Mniej spodziewanemi są cyfry procentowe odnoszące się do stosunku odpowiadającego do swych współkolegów; i tak stwierdza

	w szkole pryw. polskiej	rząd. rosyj.	rząd. austr.
stosunek przyjazny .	80·5	73·4	59·3
„ wrogą . . .	00·0	1·6	0·8
„ obojętny .	19·5	25·0	39·9

Bez względu na to więc, czy bierzemy pod uwagę szkołę rosyjską czy polską w zaborze rosyjskim, stwierdzić musimy, że naogół stosunek przyjazny do kolegów jest częstszym w Królestwie niż w Galicyi, gdzie znów w znacznej części występuje obojętność ( $\frac{2}{5}$  ogółu!).

Powodów tu szukać należy przedewszystkiem w odmiennym ugrupowaniu społecznym i narodowym uczniów. Szkoła polska w Królestwie, to szkoła wyłącznie polska, co więcej, szkoła młodzieży raczej zamożniejszej, staranniej wychowanej; szkoła galicyjska, to nierzadko konglomerat polsko-żydowsko-ruski, o najrozmaitszem uwarstwieniu klasowem, z wielkim odsetkiem uczniów, którzy właściwie tylko siłą bezwładności społecznej pchnięci, znaleźli się i prosperują w szkole średniej. Obok tego chroniczny stan walki, troskliwe wypracowywanie polskiego poglądu przeciwko narzucanym wciąż formom wschodnim, tworzyło w Królestwie, tak w rządowej, jak i prywatnej szkole wysoki nastrój patriotyczny, solidarność klasy, jako solidarność narodu, co sprzyjało ogromnie powstawaniu tajnych organizacyi, które znów ze swej strony stawały się czynnikiem potęgującym życie koleżeńskie. Odwołując się znów do cyfr, widzimy, że brało w kołach samokształcenia

	pod panow. rosyjskiem	pod panow. austriackiem
brało . . . . .	71·2	62·0
nie brało . . . . .	20·2	34·5
nie dało odpowiedzi .	8·6	3·5

Wydawaniem pism uczniowskich, tak charakterystycznym w pewnym okresie szkolnym, trudniło się w Królestwie 13·5%, w Galicyi tylko 6·7%, mimo, że w Galicyi stosunki, że tak powiemy, cenzuralno-szkolne, były bezwątpienia pomyślniejsze.

Ciekawym przyczynkiem do charakterystyki szkoły jest niewątpliwie stosunek nauczycieli do uczniów. Otóż co do tego, to znowu szkoła prywatna polska przedstawia się w najlepszym świetle, szkoła rosyjska w najgorszym. Szkoła galicyjska nie przedstawia się najlepiej, bardzo często stwierdzano stosunek oficjalny, bardzo często stosunek niesprawiedliwy. Ma i to oczywiście swoje powody głębsze: zawód nauczycielski w Galicyi jest takim zawodem, jak i inne, nie wymaga większego poświęcenia, niż zawód sędziowski czy inny; w Królestwie nauczyciel szkoły prywatnej ryzykował dużo i dlatego, jeśli wybierał zawód pedagogiczny, to zazwyczaj z zamiłowania, zawód ten był dla niego eksponowaną placówką ideową.

Obok tych czynników, które przedstawiały wpływ szkoły na młodego ucznia, skonstatować możemy drugi dział wpływów, nie mniej ważny i charakterystyczny: wychowanie w rodzinie. Okazuje się, że w Królestwie daleko więcej osób i daleko dłużej było wychowanych przy rodzinie.

Niewątpliwie działa się to w części dlatego, że w Galicyi więcej jest w szkołach młodzieży ze sfer ubogich, własną pracą i wytrwałością, czasami z pomocą społeczeństwa zdobywającej naukę, którym dom rodzinny nie był w stanie dać choćby najprostszego wychowania. Tak więc procent osób, które poza domem rodzicielskim otrzymało pierwsze wychowanie, wynosi w Galicyi 42, w Królestwie czyli właściwie w całym zaborze rosyjskim tylko 10; różnica to widoczna.

Podobnie też w Królestwie nauka w domu trwa daleko dłużej, co tłumaczyć łatwo małą ilością i nieszczególnym stanem szkół początkowych, zresztą domy zamożniejsze przedłużają zazwyczaj wychowanie domowe aż do pójścia do szkoły średniej, zwłaszcza, gdy ta szkoła była jedynie rosyjską. Otóż takich wypadków wykazuje Królestwo 65%, Galicya tylko 10%. Jest to niejednokrotnie korzystne. Umiejętna nauka domowa może w wielu wypadkach dać dziecku nierównie więcej, niż szablonowy system szkolny; często odsuwa się takie dziecko od złego nierzadko wpływu współuczniów. Ciekawym faktem jest to, że jeśli rodzice podej-

mowali się tej nauki, to w Galicyi uczył więcej ojciec, mający popołudnie wolne od biura (jeśli był urzędnikiem, co zdarzało się bardzo często), w Królestwie daleko częściej matka, podczas gdy ojciec zajęty był nierównie dłuższą pracą w rolnictwie, handlu czy przemyśle. I to nie pozostaje bez wpływu na umysłowość dzieci: jeśli ojciec urzędnik, przyzwyczajony do rutyny i kariery urzędowej, dziecku wpoić musi przede wszystkim oportunizm i bardzo dokładną definicyę celu życiowego, o tyle matka, Królewianka, wychowana w duchu narodowym, wpaja dziecku więcej zasad natury idealnej, zapewne także więcej delikatności w stosunkach ludzkich.

Po pewnym czasie jednak, najczęściej przy wstąpieniu do gimnazyum, stosunek ten, tak dotychczas ścisły, między uczniem i rodziną pod zaborem rosyjskim, urywa się nagle. Rzadko się zdarza, aby w miejscu, gdzie rodzina mieszka, było także gimnazyum, następuje więc wyjazd ucznia do miasta gubernialnego i oddanie go na stacyę. Cyfry przekonują nas o tem, że młodzież z zaboru rosyjskiego w czasie swych studyów gimnazyalnych rzadziej mieszka u rodziców, niż młodzież galicyjska, częściej natomiast na t. zw. „stancyi“, wspólnie z kilku czy kilkunastu kolegami. Mało natomiast znanymi są mieszkania u profesorów, w internatach, bursach, w klasztorach wreszcie, które znów szeroko znane są w Galicyi. Instytucye te kształtują oczywiście typ umysłowy i moralny młodzieży w ten czy inny sposób, a raczej oryentują jego drogi rozwojowe w ściśle określonym kierunku. Bursa galicyjska, jak to łatwo stwierdzić ze zgodnego chóru bursaków, jest rodzajem więzienia, tamuje wszelką myśl samodzielną, nakłania do tępego, bezmyślnego rygoru. Typ bursaka, który nie zdołał się jeszcze otrząsnąć, jest na uniwersytecie nierzadki.

Jakże odmiennem środowiskiem jest stancya. Daleko mniejsza, bez rygoru i często bez dozoru stancya uczniowska, znana, jeśli nie z życia, to przynajmniej z współczesnej literatury powieściowej Zycha, Daniłowskiego i innych, pozostawia bardzo dużo miejsca swobodnemu, nieokiełznanemu rozwojowi, stając się często powodem zbyt wczesnego wyczerpania sił, lub też utraty samokrytycyzmu; niema tu miejsca dla systematyczności, stąd też ze środowiska tego wychodzą często ludzie rozwichrzeni i niedouczeni. W atmosferze tej wytwarza się podatność pod wielkie i silne hasła, czasami tylko pod wielkie słowa czy wielkie litery, zatracą



się natomiast zdolność obserwacji życia w każdym jego szczególe i odbudowywania go od podstaw wytrwałą i gruntownie obmyślaną pracą.

Dawniej wybijały się obok drobnych różnic prowincjonalnych, które mniejsze były u nas niż gdzieindziej, dwa zasadnicze typy polskie: Koroniarz i Litwin. Typy te nie tylko odmiennymi warunkami życia się różniły, powolnym, szerokim biegiem życia na Litwie, intensywniejszem tętnem w Koronie, były tu także różnice głębsze, rasowe. To byli inni ludzie, inny typ etniczny. Kto umie parzeć, ten to nietrudno dostrzeże, że, abstrahując już od typu etycznego Litwina czy Białorusina, który wyraźnie różni się od typu polskiego, szlachta litewska czy ruska, a więc szlachta polska na Litwie i Rusi przedstawia typ odmienny. Wyraźnie to uwydatnia np. Glogier, zestawiając trzy typy szlachty polskiej (typ polski koroniarz, litewski, podolski) czy Hryncewicz, pisząc swe studium antropologiczne o szlachcie litewskiej. I dziś, przy bliższym, bardziej osobistym zetknięciu się z tymi ludźmi, po porzuceniu wszelkich dyskusji politycznych i społecznych, różnicę tę widać. Oczywiście zaciera się ona coraz bardziej w miarę żywych stosunków z dawną Koroną.

Ale różnica ta w potocznem życiu np. uniwersytetu krakowskiego zanika zupełnie. Nikt nie klasyfikuje młodzieży w ten sposób, aby z jednej strony stawał Koroniarzy, z drugiej Litwinów. Określenie to, z którem można spotkać się na każdym kroku w Królestwie, gdzie przeciwstawienie Królestwa i Litwy, często Królestwa i Cesarstwa, jest żywe i częste, zanika najzupełniej na gruncie krakowskim. Niewola wyżyłobiła w ramach granic państwowych nowe typy polskie, tak samo nienaturalne, jak te kordony, które przecinają Polskę. Czasami aż przeląc się należy, jak dalece w myśl i w krew szczerzego polskiego typu wżarły się dwa odmiennie sposoby myśli, jak nieraz dążą one ku temu, aby stać się dwoma odmiennymi typami czucia, jak często ludziom, których ta sama krakowska ziemia urodziła i wychowała, trudno jest się porozumieć w najprostszych sprawach bytu narodowego, bo choć obaj są z pod Krakowa, jeden jest z pod Bochni, drugi z pod Proszowic. Trudno się dziwić, że wskutek tego wytwarzała się między dzielnicami jakaś wzajemna nieufność, jakieś wartościowanie siebie samych w stosunku do sprawy narodowej, która czasami była mitem, lub też istotą cudowną, objawiającą się zarazem

w trzech postaciach i zwalczającą się nawzajem. Jakkolwiek więc można się zapatrywać na bojkot szkół rosyjskich w Królestwie, na opuszczenie uniwersytetu warszawskiego, na to, że młodzież z Królestwa nigdy nie odbywała swych wyższych studyów u siebie, pozytywnym dorobkiem pozostanie zawsze to, że okres 1905—1914 jest jednym z najważniejszych etapów zbliżenia się młodzieży polskiej z dwu zaborów, a co pozatem idzie, i społeczeństwa z obu dzielnic. Podobnie obecnie lata wojny, 1914 i 1915, przynoszą zbliżenie się Polaków z pod panowania pruskiego i rosyjskiego.

Zbliżenie się to jest koniecznem i świadoma akcyja w tym celu jest również jednym z bardzo racjonalnych postulatów polityki *reipublicae emendandae*. Czyżby kto mógł przypuścić, że kordon zaborczy tyle między nami wyrzeźbi różnic?

Spółczeństwo rolnicze, przemysłowe, handlowe Kongresówki, wydaje młodzież, która od najwcześniejszych lat swego życia przywykła w pierwszym i jedynym rządzie ufać tylko w swoje własne siły, nie oglądając się na pomoc rządu, który w stosunku do ludności polskiej występował zawsze wrogo, ani na pomoc społeczeństwa, które nie zawsze rozporządzało odpowiednią organizacją. Galicya, ze swą ludnością małorolną i urzędniczą, ma młodzież, która z natury rzeczy więcej polega na bezwładności maszyny administracyjnej i życiowej całego kraju, gdzie *aurea mediocritas* stanowi jedno z najcenniejszych wskazań wyniesionych już z domu, nietylko z gimnazjum filologicznego, gdzie przyzwyczajano się oglądać się zawsze na rząd i na wzory z zachodnich krajów monarchii, nie patrząc i nie umiając tego krytycznie osądzić, czy te wzory mają dla kraju, a także dla Polski jaką wartość.

Szkoła średnia, którą Królewski przebywa albo w zakładzie rosyjskim, gdzie uczy się systematycznego przeciw najazdowi oporu, gdzie pojęcie narodu nabiera dłań określonej, konkretnej wartości, czy też w szkole prywatnej polskiej, zdobytej strejkiem szkolnym młodzieży, gdzie uczy się z zamiłowaniem i z dumą niejako, przyczynia się również do jej rozwinięcia umysłowego i moralnego, do tej samodzielności umysłowej. Szkoła średnia w Galicyi, do której uczniowie odnoszą się w znacznej części niechętnie, w której uczniowie wraz z profesorami starają się przy minimum pracy osiągnąć maximum powodzenia, czy wegetowania, działa w wielu wypadkach raczej przytępiająco, tak, że

nierz dłuższego czasu trzeba, aby się mózdz otrząsnąć z wrażeń szkolnych.

Życie polityczne młodzieży zaboru rosyjskiego skazane jest z natury rzeczy na konspirację, na ciągle narażanie się; akcye o szerokim zakresie, jak np. strejk szkolny, udział w wypadkach 1905 roku, nadają jej szeroki zakres rozmachu; okres górny i chmurny. Młodzież z pod panowania austriackiego konspiruje, forma ta jednak ma dla niej znaczenie raczej dekoratywne, treść ogranicza się prawie wyłącznie do samokształcenia, o ile nie staje w akcji, organizowanej przez stronnictwa polityczne.

Stosownie do tego rozwija się życie intelektualne obu zaborów. Królestwo czyta więcej, bardziej gorączkowo, uczy się prawie wyłącznie w lekturze pozaszkolnej; z racji swej młodości i nienormalnych warunków życia, „przedwczesnej dojrzałości“ skłonne do lektury radykalnej, religijnej czy społecznej. Czytani są także autorowie o wysokim poziomie ideowym, nieznanemu zupełnie w Galicyi, jak Świątochowski. Lektura młodzieży galicyjskiej jest zawsze lekturą, którą traktuje się jako coś dodatkowego do nauki szkolnej; zyskuje ona w ten sposób na systematyczności, zapewne też na gruntowności, nie sprzyja wyrobieniu się na człowieka. Jest zresztą stanem normalniejszym i właściwszym, przypuściwszy, że szkoła jest dobra.

Na uniwersytecie rozkłada się młodzież na wydziały według swych planów życiowych. Królewscy, skazani na swe własne siły, na dostosowanie w każdym warunkach życiowych do każdego zawodu, na sprężystość: dzisiaj tu, jutro tam, grupują się na wydziałach w inny sposób, niż młodzież w Galicyi. Omijają przede wszystkim wydział prawniczy i studia filologii klasycznej, wiodące w Galicyi normalnie do posad rządowych. Młodzież galicyjska, wybierając w znacznej części karierę urzędową, studjuje bardziej ściśle, bardziej się ogranicza, mniej jest skłonna do cygaństwa myślowego, bardziej do beotyizmu. Przy tak różnych zapatrywaniach, poglądach i sposobie życia łatwo o nieporozumienia, o wzajemne niechęci. W interesie polskośći należy ich unikać, należy bezwzględnie tępić partykularyzm dzielnicowy, który jest służbą przeciwko Polsce.

Sądzymy, że gdy w niedługiej przyszłości

zacznie się praca nad układaniem nowych stosunków życiowych, to wtedy zadaniem naszym

będzie układać nowe zasady współżycia w ten sposób, aby uniknąć tarć i sporów, aby te różne typy, które nie mają za sobą żadnego uzasadnienia antropologicznego czy etnicznego, żadnej podstawowej różnicy konstytucyjonalnej, sprowadzić znów do jednego mianownika.

*Jan Stanisław Bystron i Henryk Tański.*

## Państwo Kongresowe.

Po rozbiorach historycznej Polski myśl polska przez dziesiątki lat ochłonać nie mogła z nieszczęścia, jakie na naród sprowadziło jego fatalne położenie geograficzne na trzonie Europy środkowej, pożądlivość potężnych sąsiadów i nieopatrzność rządzącej warstwy. Dopóki żyło pokolenie, żywo pamiętające Polskę w granicach roku 1772 od Bałtyku po Dniepr i od Karpat po Dźwinę i poza nią, wszelkie projekty i próby odbudowy państwa polskiego w granicach etnograficznych i jeszcze ciaśniejszych nie mogły pozyskać duszy polskiej, przejętej tradycją chwały i wielkości Jagiellońskiej spuścizny. Z tego powodu dwa państwa polskie, utworzone niedługo po trzecim rozbiore, jedno pod nazwą Księstwa Warszawskiego w r. 1807 przez Napoleona, drugie pod nazwą Królestwa Polskiego w r. 1815 przez kongres wiedeński i Aleksandra I., przemieły niemal bez śladu w pamięci szerokiego ogółu polskiego, który nie mógł przeboleć utraty potężnej Ojczyzny i nie uznawał owych państw za państwa polskie w znaczeniu, jakie myśl i uczucie Polaka do tej nazwy przywiązywały i przywiązują. Dobrze się jednak stało, że przynajmniej w najnowszych czasach nasi uczeni i publicyści owym państwom polskim bliższą poświęcili uwagę: bo w rządach polskich obu tych państw, sprawowanych wśród bardzo trudnych warunków, znaleźć muszą swoi i obcy dowody tak imponującej siły organizacyjnej, zdolności politycznej i żywotności społeczeństwa polskiego, że zdumiewają one każdego, kto zna przeszłość naszego narodu tak długo w anarchii pogrążonego. Pamięć tych rządów i ich świetnych rezultatów jest zarazem pociechą dla każdego Polaka, skoro odrodzenie ojczyzny w tak szczupłych ramach i w tak krótkim czasie własną mocą mimo obce przeszkody okazało się możliwym.

Obydwa państwa polskie z pierwszej połowy XIX. stulecia zgasły po krótkim żywocie. Jedno nie przeżyło upadku swego twórcy, Napoleona I., drugie bez odwoływania się do Europy zostało wymazane w sposób gwałtowny z rzędu państw samodzielnych. Nie wspominam tu o trzecim państewku, wolnem mieście Krakowie, oddanem przez kongres wiedeński pod protektorat trzech państw sąsiednich. Zwyczajem się u nas stało, po ciężkich doświadczeniach przeszłości szukać przedewszystkiem w nas samych, w naszej naturze i odziedziczonych wadach przyczyn naszego politycznego upadku, może z obawy przed ich powtórzeniem się w przeszłości. Zwyczaj to obosieczny, bo w przygnębionem społeczeństwie budzi i utrwała pesymizm, a obcym daje broń przez nas samych ukutą przeciw przyrodzonym i historycznie uzasadnionym dążeniom narodu. Dlatego prawda dziejowa i sprawiedliwość dla siebie samych wymagają wykazania swoim, a bardziej jeszcze obcym takich przyczyn zewnętrznych, które z elementarną siłą sprowadziły upadek państwa kongresowego niezależnie od woli czy winy samego społeczeństwa. Niechże obok przestrogi dla nas samych nie braknie także przestrogi dla przyszłych kongresów międzynarodowych, jeśli będzie im znowu danem urządzać i ustalać stosunki i narodów i państw Europy.

Po zwycięskim pokoju w Tylży Napoleon I. niechętnie i niemal wstydliwie, wskutek równoczesnych umizgań swoich do Aleksandra I., zdecydował się był na utworzenie ze zdobyczy na Prusach uzyskanej państwa polskiego, któremu nadał nazwę Księstwa Warszawskiego. Podpisując w Dreźnie 22. lipca 1807 ustawę konstytucyjną dla Księstwa, dodał znaczącą uwagę: „Potwierdziliśmy i potwierdzamy powyższą ustawę konstytucyjną, podaną nam w skutku 5. artykułu traktatu, zawartego w Tylży, a którą my uważamy za zdolną dopełnić nasze zobowiązania się względem ludów Warszawy i Wielkiej Polski, godząc oraz ich swobody i przywileje z spokojnością państw ościennych“. Szczupły ten i nieforemny obszar nowego państwa, oddanego w dziedzictwo królowi saskiemu, jako księciu warszawskiemu, został dopiero w r. 1809 dzięki pokojowi z Austryą (w Schönbrunie) znacznie pomnożony i zaokrąglony przez połączenie t. zw. Nowej czyli Zachodniej Galicyi, uzyskanej przez Austryę przy trzecim rozbiórce Polski, t. j. obszarów między Pilicą i Bugiem wraz z miastem Krakowem. W ten sposób powstało państwo w ludności zwyż

czterech milionów dusz (na kongresie wiedeńskim przyjęto 3,929.626 dusz<sup>1)</sup>), bez wybrzeża morskiego i Gdańska, bez Galicyi i obwodu białostockiego, obejmujące jednak większą część Polski etnograficznej. Rząd tego, za ledwie lat kilka trwającego państwa, kładł podwaliny pod organizację i ustawodawstwo przyszłego państwa kongresowego. Królestwo Polskie zachowało dotychczas w kodeksie Napoleońskim cenną pamiątkę historycznej przeszłości i samodzielności Księstwa Warszawskiego.

Niebawem role się zmieniły. Z widowni dziejowej ustępywał Napoleon I., a wstępowała na nią nowa gwiazda w osobie Aleksandra I., cesarza Wszech Rosyi. Traktat przymierza, zawarty 1. marca 1814 r. między Austryą, Rosyą, Anglią i Prusami w Chaumont „celem utrzymania równowagi w Europie, zabezpieczenia spokoju i niezależności państwom i zapobieżenia przewrotom“ zwiastował zbliżający się niechybny upadek cesarza Francuzów. W pokoju paryskim 30. maja 1814 r. postanowiono urządzić w dniu 1. listopada 1814 r. kongres ośmiu państw europejskich w Wiedniu w celu ustalenia równowagi politycznej w Europie i uregulowania stosunków licznych państw niemieckich w dobrem porozumieniu zaprzyjaźnionych z sobą panujących<sup>2)</sup>).

Orędownictwo sprawy polskiej objął Aleksander I., car męczennik, mówiący głośno o swem postanowieniu zjednoczeniu wszystkich ziem polskich pod swoim berłem, odbudowania Polski historycznej, a nawet nadania konstytucyi cesarstwu rosyjskiemu. Aleksander I. był jednak równocześnie orędownikiem tronów i panujących, dlatego już na kongresie wiedeńskim poświęcił swoją własną ideę zjednoczenia ziem polskich interesowi dynastyi saskiej. Uratował tron królowi saskiemu w zamian za wydzielenie na rzecz Prus z Księstwa Warszawskiego okręgów poznańskiego i bydgoskiego, wówczas o ludności 845.848 dusz, wcielonych do państwa pruskiego pod nazwą Wielkiego Księstwa Poznańskiego. Nowe państwo polskie, utworzone przez kongres wiedeński, nie było na razie zjednoczeniem ziem polskich, jeno tylko napoleońskim Księstwem Warszawskim, okrojonem o prastarą siedzibę i kolebkę Polski. Nie wstydzono się już nazwać go „Królestwem Polskiem“,

<sup>1)</sup> Ob. J. L. Klüber, *Akten des Wiener Kongresses*, Eriangen, 1815, t. V, str. 12.

<sup>2)</sup> Ob. Klüber, I., str. 41.

a wspomiano już o „ludach Warszawy i Wielkiej Polski“, a nadto wyobraźnia polska kołysała się nadzieją odzyskania z ręki Aleksandra I. Litwy, Wołynia, a może także Podola i Ukrainy dla nowej Polski.

Nowe państwo polskie otrzymało w miejsce dynastji saskiej Księstwa Warszawskiego dziedzicznego króla w osobie Aleksandra I. i przez nową dynastję zostało „weczyście“ z państwem rosyjskiem połączone. Miasto Kraków uznano za miasto wolne, niezawisłe i ściśle neutralne.

Kongres wiedeński wysunął sprawę polską na plan pierwszy i w ostatecznej redakcyi uchwiał kongresu z 9. czerwca 1815 r. zajęła ona pierwsze miejsce. Formalnie więc Królestwo Polskie było tworem kongresu wiedeńskiego, uświęconym przez wszystkie państwa w kongresie uczestniczące. Czy było nim w rzeczywistości? Na to pytanie dają odpowiedź nietylko dzieje kongresu i późniejsze losy Królestwa, ale już sama osnowa postanowień kongresu. Oto najważniejsze uchwały kongresu w tekście autentycznym francuskim:

#### Article I.

Le Duché de Varsovie à l'exception des Provinces et districts dont il a été autrement disposé dans les articles suivans est réuni à l'Empire de Russie. Il y sera lié irrevocablement par sa constitution, pour être possédé par S. M. Empereur de toutes les Russies, Ses héritiers et Ses successeurs à perpétuité Sa Majesté Impériale se réserve de donner à cet État jouissant d'une administration distincte, l'extension intérieure qu'elle jugera convenable. Elle prendra avec Ses autres titres celui de Czar, Roi de Pologne, conformément au protocole usité et consacré pour les titres attachés à Ses autres possessions.

Les Polonais, sujets respectifs de la Russie, de l'Autriche et de la Prusse, obtiendront une représentation et des institutions nationales, réglés d'après le mode d'existence politique que chacun des Gouvernemens auxquels ils appartiennent jugera utile et convenable de leur accorder.

#### Art. VI.

La ville de Cracovie avec son territoire est déclarée à perpétuité cité libre, indépendante et strictement neutre, sous la protection de la Russie, de la l'Autriche et de la Prusse.



## Art. XIV.

Les principes établis sur la libre navigation des fleuves et canaux dans toute l'étendue de l'ancienne Pologne, ainsi que sur la fréquentation des ports sur la circulation des productions du sol et de l'industrie entres les différentes Provinces polonaises et sur le commerce de transit, tels qu'ils se trouvent énoncés dans les articles 24, 25, 26, 28 et 29 du traité entre l'Autriche et la Russie et dans les articles 22, 23, 24, 25, 28 et 29 du traité entre la Russie et la Prusse, seront invariablement maintenus.

Oto już w artykule I. uchwał kongresu mieści się naczelne postanowienie o połączeniu okrojonego Księstwa Warszawskiego z Rosyą, utworzenie zaś Królestwa Polskiego przedstawia się jako zamierzone dzieło cesarza Wszech Rosyi, który „sobie zastrzegł dać temu państwu odrębną administracyę i odpowiednie rozszerzenie wewnętrzne“. Jakoż już w preliminaryach kongresu postanowiono <sup>1)</sup>, że „prowadzenie rokowań co do przyszłego losu Księstwa Warszawskiego“ porucza się trzem państwom: Austrii, Rosyi i Prusom przy udziale Anglii, a po odstąpieniu W. Ks. Poznańskiego Prusom, które się zobowiązały dać Polakom odpowiednią „reprezentacyę i instytucye narodowe“, decydująca rola co do losów reszty Księstwa Warszawskiego przeszła z natury rzeczy na cesarza Aleksandra. Kongres wiedeński zarejestrował wyniki ostateczne rokowań między trzema państwami sąsiednimi co do losów Polski, nie wspominając wcale o dalej idących postanowieniach Aleksandra I., kongresowi urzędowo nie notyfikowanych. Jeszcze bowiem nie spisano ostatecznych aktów kongresu wiedeńskiego, gdy Aleksander I., Imperator Wszech Rosyi i Król Polski, wydał w dniu 25. maja 1815 manifest do narodu polskiego, obwieszczający utworzenie nowego państwa polskiego pod nazwą Królestwa polskiego, obok wolnego miasta Krakowa, a równocześnie z manifestem także podstawy konstytucyi dla nowego państwa: „Wojna w celu ujarznienia świata na łono ojczyzny naszej wniesiona, zaprowadziła Rosyę i Europę zwycięską aż pod bramy Paryża. Powzięliśmy od tej chwili słuszną nadzieję, że niepodległość ludów ujrzemy pod rękojmią zasad sprawiedliwości, umiarkowania i liberalności, które wojskowy despotyzm wymazał z księgi prawa cywilnego i politycznego narodów.

<sup>1)</sup> Klüber I, str. 43.

Kongres wiedeński zwołanym był w zamiarze usprawiedliwienia tych nadziei i udzielenia dobrodziejstw pokoju wszystkim ludom, które ciężar klęsk tyłu dźwigały. Ale dla osiągnięcia tego zbawiennego celu koniecznem było, by każdy z nich interes swój i osobne prawa poddał interesowi całej Europy i poniósł nowe dla ogólnego dobra ofiary. Podług takich to wyższych względów stanowiono o losie narodu polskiego... Umowy traktatu, zawartego przez nas w Wiedniu, oznaczają sposób bytu narodowego, a razem i korzyści, których używać będziecie, przechodząc pod nasze berło...

Konstytucya ustosowana do miejscowości waszego kraju i do waszego charakteru; zachowanie języka, sprawowanie urzędów publicznych, zupełna wolność handlu i spławu, łatwość znoszenia się z krainami pozostałemi pod obcym panowaniem, siła zbrojna narodowa, wszelkie drogi otwarte dla postępowego doskonalenia waszych spraw, waszego przemysłu, do rozszerzenia światła między wami. Takie są korzyści, których używać będziecie pod naszym i następców naszych berłem; z nich to składać się ma wieczyście niezatratne dziedzictwo, które zostawicie waszym potomkom.

To nowe państwo zostało Królestwem Polskiem. Imię pożądane, którego oddawną używacie wszystkimi życzeniami i usiłowaniem waszem i za które przelaliście krwi tyle. Wreszcie, aby uwieńczyć dzieło, któremu nieszczęście czasów tyle przeszkadzało, zgodzono się, aby (oprócz wolności miasta Krakowa) narodowość braci waszych podległych berłu Austrii i Prus, oddaną była pieczołowitości rządów właściwych.

Polacy! bodajby pamiętna epoka, co zamienia wasze losy, mogła ustalić na zawsze wasze życzenia, wasze nadzieje i wasze uczucia!...

Oto główne, istotne ustępy manifestu królewskiego, zawierające zarazem treść postanowień traktatowych względem Polaków.

Powołany w manifestie traktat, zawarty w Wiedniu 3. maja 1815 r. między „Cesarzem Rosyi, Cesarzem Austrii i Królem Pruskim, równą ożywionych chęcią porozumienia się przyjacielskiego względem najwłaściwszych środków ustalenia dobrego bytu Polaków w naszych stosunkach“, a zredagowany osobno „między Rosyą i Austryą, a drugi między Rosyą a Prusami, dla objęcia tak ogólnych obowiązków, wszystkim trzem mocarstwom wspólnych, jakoteż umów każdemu z nich właściwych“, stanowił o państwowości Królestwa Polskiego:

„Księstwo Warszawskie z wyłączeniem części (przyznanych Prusom) połączone jest z cesarstwem rosyjskiem. Połączonem zaś z niem będzie nieodzownie przez swoją konstytucyę i posiadanie na wieczne czasy przez cesarza Wszech Rosyi, jego dziedziców i następców. Jego cesarska mość zachowuje sobie nadać temu państwu (Etat), mającemu używać oddzielnej administracyi, rozszerzenie wewnętrzne, jakie uzna za przyzwoite. Przybierze do innych tytułów tytuł Króla Polskiego, stosownie do obrządku używanego i zachowanego w tytułach przywiązanych do innych jego posiadłości“.

Względem Polaków innych zaborów stanowił traktat: „Polacy, poddani każdej strony kontraktującej, otrzymają reprezentacyę i ustawy narodowe, zastosowane do formy bytu politycznego, jaką każdy z rządów, pod którymi zostawać będą, nadać im uzna za użyteczne i przyzwoite“.

Na podstawie zasad konstytucyjnych, wydanych przez Aleksandra I. równocześnie z manifestem, opracował komitet „ustawę konstytucyjną Królestwa Polskiego“, wydaną w Warszawie „w zamku naszym królewskim“ w dniu 27. listopada 1815. Zasadnicze artykuły ustawy konstytucyjnej co do ustroju państwa opiewają:

Królestwo Polskie jest na zawsze połączone z cesarstwem rosyjskiem (art. I.).

Stosunki cywilne i polityczne, które jemu naznaczamy, jakoteż i związki to połączenie ustalić mające, objęte są niniejszą ustawą, którą jemu nadajemy (art. II.).

Stosunki polityki zewnętrznej naszego cesarstwa będą wspólne naszemu Królestwu Polskiemu (art. VIII.).

Naród polski mieć będzie wiecznymi czasy reprezentacyę narodową w Sejmie, złożonym z króla i z dwóch izb, z których pierwsza składać się będzie z senatu, druga z posłów i deputowanych od gmin (art. XXXI.).

Wojsko zachowa kolory swego munduru, swój ubiór właściwy i wszystko, co się tyczy jego narodowości (art. LVI.).

Sam tylko panujący będzie miał prawo oznaczyć uczestnictwo Królestwa Polskiego do wojen przez Rosyę toczonych, jakoteż do traktatów pokoju i handlowych, któreby to mocarstwo zawierać mogło (art. IX.).

W każdym przypadku wprowadzenia wojsk rosyjskich do Polski lub wojsk polskich do Rosyi, lub w przypadku przechodu

tychże wojsk przez jaką prowincję jednego z dwóch państw, utrzymanie ich i kosztą przechodu ponoszone będą całkowicie przez kraj, do którego należeć będą. Wojsko polskie nie będzie nigdy wzięte za granicami Europy (art. X.).

Wszystkie czynności publiczne, administracyjne, sądowe i wojskowe bez żadnego wyłączenia odbywać się będą w języku polskim (art. XXVIII.).

Urzędy publiczne, cywilne i wojskowe nie będą mogły być sprawowane, tylko przez Polaków (art. XXIX.).

Wszyscy bez wyłączenia są odpowiedzialni za swe urzędowanie (art. XXX.).

Rząd jest w osobie Króla. Król sprawuje władzę wykonawczą w całej swej rozciągłości. Wszelka władza wykonawcza lub administracyjna od niego tylko pochodzić może (art. XXXV.).

Kierunek siły zbrojnej w pokoju i wojnie, jakoteż mianowanie dowódców i oficerów, należą wyłącznie do króla (art. XXXVIII.).

Król rozrządza dochodami państwa stosownie do ułożonego budżetu, a przez siebie potwierdzonego (art. XXXIX.).

Prawo wydawania wojny i zawierania traktatów i umów wszelkich zachowane jest królowi (art. XL.).

Wszyscy nasi następcy do Królestwa Polskiego powinni się koronować jako królowie polscy w stolicy podług obrządku, jaki ustanowimy i wykonają następującą przysięgę: „Przysięgam i przyrzekam pod Bogiem i na Ewangelię, iż ustawę konstytucyjną zachowywać i zachowania jej wszelkimi siłami przestrzegać będę“ (art. XLV.).

Wszelkie rozkazy i postanowienia królewskie powinny być zatwierdzone podpisem ministra naczelnika wydziału, który będzie odpowiedzialnym za wszystko, coby te rozkazy lub postanowienia obejmować mogły przeciwnego konstytucyi i prawom (art. XLVII.).

Król w przypadku swej nieprzytomności mianuje namiestnika, który powinien mieszkać w Królestwie. Namiestnik podług woli odwołanym być może (art. V.).

Gdy Król nie będzie mianował swym namiestnikiem Książęcia cesarsko-rosyjskiego, wybór ten padać nie może tylko na rodaka albo na osobę, której Król nada naturalizacyę (art. VI.).

Namiestnik będzie mianowany przez akt publiczny. Akt takowy oznaczy wyraźnie rodzaj i rozciągłość władzy, jaka mu będzie powierzona (art. VII.).

Namiestnik wykona w ręce Króla i w obliczu senatu przy sięgę (że będzie sprawował rządy stosownie do aktu konstytucyi, praw i do pełnomocnictwa królewskiego) (art. LXX.).

Ministrowie, naczelnicy wydziałów, tudzież członki komisji rządowej odpowiadają i podległymi są sądom sejmowym za każde naruszenie ustawy konstytucyjnej, praw i postanowień królewskich (art. LXXXII.).

Sądownictwo jest konstytucyjne, niepodległe, t. j. ma wolność oświadczenia swego zdania i sądenia bez ulegania wpływowi władzy najwyższej i ministeryalnej lub innemu urzędowi (art. XXXVIII—XXXIX.).

Przytoczone tu postanowienia konstytucyi łącznie z osnową traktatów kongresowych i manifestu Aleksandra I. do narodu polskiego wystarczają dla zrozumienia istoty prawno-politycznej Królestwa Polskiego. Królestwo Polskie było państwem udziałnym nie tylko z imienia, ale z natury swej i z woli swoich twórców. Było ono bowiem organizmem politycznym samodzielnym, pod własną najwyższą władzą, niepodlegającym pod żadnym względem innemu państwu lub obcej woli państwowej. Stosunek prawno-polityczny Królestwa do cesarstwa rosyjskiego polegał formalnie na zupełnej równorzędności obu państw wzajemnie. Królestwo miało być przez osobę monarchy, dynastję i wspólne sprawy polityki zewnętrznej wiecześnie połączone z cesarstwem rosyjskiem, ale wzajemnie cesarstwo rosyjskie tak samo połączone z Królestwem. Związek obu państw był międzynarodowym, unią realną, stworzoną przez traktaty kongresowe i wolę samowładzcy Wszech Rosyi. W tej unii stanowisko Królestwa Polskiego było nawet pozornie korzystniejszym, ponieważ Królestwo było monarchją konstytucyjną, w której władzę prawodawczą dzielił monarcha z obu izbami Sejmu, gdy Rosya pozostała monarchją absolutną. Królestwo miało własną armię narodową, a wojna prowadzona przez Rosyę, nie obejmowała równocześnie Polski, jeśli panujący inaczej nie postanowił (art. IX.). Polska urządzać miała swoje stosunki handlowe z innymi państwami oddzielnie, traktaty handlowe i pokojowe miały być z Rosyą wspólne tylko za osobnem zarządzeniem monarchy. Istotnie też Królestwo miało odrębny własny obszar celny i autonomiczną taryfę cłową. Próba wprowadzenia wspólnego obszaru cłowego z Rosyą, podjęta ukazem z 15. października 1819 r., nie powiodła się i upadła po dwóch latach wraz z systemem wolno-

handlowym. Nawet na polu polityki zewnętrznej otrzymało Królestwo w październiku 1822 r. przy W. Ks. Konstantym osobną kancelaryę dyplomatyczną dla zagranicznych spraw Królestwa, przez co wzmógł się wpływ państwa polskiego na wspólną politykę zewnętrzną.

Jeśli porównamy stosunek prawno-polityczny Królestwa Polskiego do Rosyi, z takimże stosunkiem Węgier do Austrii, jaki istnieje na podstawie sankcyi pragmatycznej i ugody z roku 1868, to niewątpliwie unia realna monarchii austro-węgierskiej okaże się znacznie szersza. W monarchii tej bowiem wspólnemi są nietylko sprawy polityki zewnętrznej, ale także sprawy wojskowe i wspólne sprawy skarbowe, nadto szereg spraw gospodarczych i podatkowych jest traktowany na mocy peryodycznych ugód wedle wspólnych zasad, a mianowicie sprawy handlowo-cłowe (wspólna taryfa cłowa, wspólne traktaty handlowe), sprawy monetarne i banku biletowego, polityka taryfowa kolejowa, podatki konsumcyjne od spirytusu, piwa, cukru, nafty, monopole skarbowe soli i tytoniu, monopole wojskowy prochu strzelniczego, sprawy miar i wag, poczt i telegrafów, patentów na wynalazki, ochrony znaków i wzorów fabrycznych, własności literackiej. Królestwo Polskie miało także odrębną od Rosyi ustawę monetarną, wydaną już 1. grudnia 1815 roku, otrzymało też w r. 1828 osobny biletowy Bank Polski.

Nie mam zamiaru przedstawiać tu żywej działalności i zasług rządu i społeczeństwa polskiego z czasów państwowości Królestwa na polu organizacyi wewnętrznej, oświaty i wykształcenia zawodowego, komunikacyi drogowej i wodnej, przemysłu, handlu, rolnictwa, wogóle gospodarstwa społecznego. Jakby w przeczuciu nowych losów, jakie dzieje gotują ziemiom polskim, właśnie w latach ostatnich szereg znakomitych prac historycznych i ekonomicznych oświecił niemal wszechstronnie dzieje kongresowego państwa polskiego. A jednak od samego początku istniały rysy w tem państwie, które tylko dzięki zręczności i umiejętności kierujących mężów stanu można było nieraz z mazołem zasklepić; jakaś duszna zawisła nad niem atmosfera, zgoła nie licująca z ciepłemi słowami manifestu królewskiego do narodu polskiego i dalszemi nadziejami, z programem politycznym Króla i cara się wiążącemi.

Państwo polskie kongresowe przestało istnieć formalnie po stłumieniu powstania listopadowego i wydaniu statutu organicznego z 26. lutego 1832 roku, którym uchylono konstytucyę Królestwa

i uznano je na zawsze za nierozdzielną część państwa rosyjskiego. Świetnie rozwijający się organizm polityczny zakończył nagle swój żywot, przeżywszy zaledwie lat kilkanaście. Dlaczego? Oto pytanie, które nas w obecnej chwili dziejowej bardziej i serdeczniej zajmuje, niż kiedykolwiek przedtem,

Wypowiadano o przyczynach upadku państwa kongresowego sądy rozmaite. Poszukiwano winowajców w twórcach powstania listopadowego, w niecierpliwości społeczeństwa polskiego, w zachowaniu się Wielkiego Księcia Konstantego, w ciągłym i systematycznym łamaniu konstytucyi Królestwa. Wszystkim tym argumentom nie podobna odmówić pewnej, ale tylko względnej słuszności.

Najpierw społeczeństwo polskie, przejęte wspomnieniami niedawnej swej przeszłości dziejowej, karmione przez szereg lat wojen napoleońskich śmiałymi marzeniami i nadziejami, nie mogło uczuć wielkiego zapału dla tworu kongresowego, ofiarowanego mu przez Aleksandra I. wśród echa nowych walk i szumnych odezwo Napoleona, powracającego tryumfalnie z Elby. W dniu 20. czerwca 1815 r. odczytano wprawdzie po nabożeństwie uroczyste manifest Aleksandra I.: zasady konstytucyi, odebrano od obecnych przy sięgę wierności i wśród radości tłumów wzniesiono na wszystkich gmachach publicznych nowy herb Królestwa i chorągwie narodowe, ale myśl polska sięgała dalej poza nowe kordony i w dziele kongresowem widziała nowy podział historycznej Polski. Mężowie zasłużeni, nie wychowani jednak w tradycjach dawnej Polski i nie liczący się z nastrojem społeczeństwa, jak Lubecki, nie mieli silnego oparcia w społeczeństwie już dlatego, że godzili się na nowy stan rzeczy i na nim starali się Polskę budować i utrwalić. Zresztą opinię w społeczeństwie polkiem tworzyła nadal jedna tylko warstwa szlachecka. Konstytucya Królestwa, lubo liberalna, zachowała przywileje szlachty, przyznając monopol piastowania wyższych urzędów i godności, niemniej stanowisk poselskich i deputowanych właścicielom gruntowym. Rewizya konstytucyi, projektowana w r. 1827, miała objąć także urządzenie miast i włościan<sup>1)</sup>, nie doszła jednak do skutku. Z drugiej strony rządu namiestnikowskie

<sup>1)</sup> Ob. memoriał Kosteckiego. podany przez S. Smółkę w „Korespondencyi Lubeckiego IV, str. 15 i n.

i W. Ks. Konstantego daleko odbiegały nietylko od ducha, ale i od litery konstytucyi. Sejmu nie zwoływano w terminach dwuletnich, konstytucyą przepisanych, prawo budżetowe sejmu unieczystwiono, nakoniec w roku 1825 wprowadzono zasadę tajności do obrad sejmowych. Poręczone konstytucyą prawa wolności osobistej i prawnej ochrony przed uwięzieniem, wolności prasy jawnie były gwałcone, a dawniejsze groźby zawieszenia konstytucyi za Aleksandra I. z powodu finansów Królestwa w związku z niekonstytucyjnym stanowiskiem komisarza rosyjskiego Nowosilcowa i naczelnego wodza W. Ks. Konstantego przypominały społeczeństwu polskiemu, na jak wątłej podstawie spoczywa państwowość Królestwa. Połączenie małego Królestwa konstytucyjnego unią realną z absolutną olbrzymią Rosyą dawało wprawdzie Polsce moralną przewagę, ale groziło jej nieustannie materyalnem zgnieceniem, odkąd na tron dostał się człowiek konstytucyę nienawidzący w rodzaju Mikołaja I. Od tej chwili państwowość Królestwa stawała się igraszką w ręku despoty i dnie jej zdawały się być policzone nawet bez wybuchu listopadowego.

Poza temi i innemi znanymi przyczynami, które złożyły się na tak rychły upadek pełnego żywotności państwa kongresowego, istniała jednak przyczyna głębsza, główne źródło, z którego płynęły słabość i wady ustroju Królestwa, a był nim nie kto inny, jeno twórca nowego państwa, kongres wiedeński. Niejasne, chwiejne, wręcz nieszczerze stanowisko, jakie w sprawie polskiej, najważniejszej sprawie, jaką miał rozwiązać, zajął kongres wiedeński pod wpływem egoistycznych dążeń państw interesowanych, sprawiło, że nowe państwo nazwano kongresowem chyba wedle starej formuły *lucus a non lucendo*. Gdyby bowiem wszystkie państwa w kongresie wiedeńskim uczestniczące jasno i niedwuznacznie utworzenie państwa polskiego były postanowiły i byt państwa odpowiedniami otoczyły gwarancyami, niewątpliwie losy Królestwa byłyby były inne i odpadłoby z góry wiele przyczyn, jakie byt onegoż później podkopały.

Postanowienia kongresu wiedeńskiego w sprawie polskiej wogóle, a Królestwa Polskiego w szczególności, są typowym wyrazem zakłopotania, w jakim się znalazły mocarstwa europejskie od chwili wylądowania w Europie Napoleona, wracającego z Elby, oraz chęci uchylecia za wszelką cenę tej drażliwej sprawy z porządku dziennego. Z jednej więc strony nie dano Królestwu ża-



dnym gwarancy, oddano je na łaskę i niełaskę Aleksandra I., z drugiej strony zaś otwarto Polakom złudne widoki utrzymania jedności gospodarczej wszystkich ziem polskich w granicach z przed r. 1772 na zasadzie wolnego obrotu produktów rolnych i przemysłowych, wolnego spławu i niczem nie krępowanego obiegu przewozowego.

Postanowienia kongresu wiedeńskiego są przykładem na to, jak nie należy formułować uchwał międzynarodowych, jeżeli nie mają być z góry martwemi. Wprawdzie Aleksander I. spiesznie wykonał traktaty kongresowe ogłoszeniem manifestu do narodu polskiego i zasad konstytucyjnych nowego państwa polskiego, ale miał w tem osobistą ambycję, aby Królestwo uważać za własne dzieło i aby społeczeństwo polskie było świadomem tego, że z dobrej woli wspinałomyślnego króla i cara otrzymuje własne państwo i konstytucję. Miał on nawet chwilami szczerze zamiary przyłączenia do Królestwa Litwy i Wołynia, oraz nadania konstytucyi Rosyi, przez co byt konstytucyjnej Polski byłby silniej zabezpieczonym. Ale wszystko to zależało od jego woli i od względów na opinię publiczną Rosyi; gdy się o stanowczej niechęci Rosyi do swoich planów przekonał, a projekt konstytucyi dla Rosyi, opracowany przez Nowosilcowa, wzburzył przeciw niemu rosyjskich oligarchów, pozbył się stopniowo swojej ideologii konstytucyjnej i ochłódł też w swoich liberalnych zamiarach względem Polski. Wedle osnowy traktatów wiedeńskich „Jego cesarska mość zastrzegł sobie prawo nadać temu państwu, mającemu używać oddzielnej administracyi, rozszerzenie wewnętrzne, jakie uzna za przyzwoite“; jakaż niewyczerpana w takim zdaniu kopalnia dla argumentów, mających uzasadnić rzekome prawo panującego do jednostronnej zmiany konstytucyi i do samowolnych rządów!

Bardziej jeszcze nieokreślone było „zabezpieczenie“ narodowej reprezentacyi Polakom na innych ziemiach polskich: „Polacy, poddani Rosyi, Austryi i Prus, otrzymają reprezentacyę i ustawy narodowe, zastosowane do formy bytu politycznego, jaką każdy z rządów, pod którymi zostawać będą, nadać im uzna za stosowne i przyzwoite“, Postanowienie takie było jeno grzecznym uchyleniem się od załatwienia sprawy tak długo zaprzatającej umysły dyplomacyi kongresowej.

Bliżej określoną i poręczoną była tylko konstytucya wolnego i niepodległego miasta Krakowa, ponieważ pełnomocnicy trzech

państw zawarli traktat dodatkowy z 3. maja 1815 roku i ogłosili wspólnie konstytucję miasta Krakowa, którą następnie każdy z monarchów osobno ratyfikował „w całej osnowie, zapewniając słowem monarszem za nas i naszych następców, że to wszystko, co jest wzmiankowanym traktatem i konstytucją w art. 7. wzmiankowaną objęte, będzie nieodzownie zachowaniem i skutecznieniem“.

Pozornie najjaśniejsze i dla Polaków najkorzystniejsze były postanowienia traktatów kongresowych o nieograniczonej wolności obrotu produktów i płodów ziemi oraz wyrobów przemysłowych mieszkańców Polski na całym jej historycznym obszarze z przed roku 1772, o takiejże wolności transita i spławu na rzekach i kanałach wszystkich ziem polskich. Postanowienie to było jakby wskrzeszeniem Polski historycznej pod względem gospodarczym i miałoby być niesłychaną doniosłością narodową i polityczną, gdyby było dotrzymanem. Najważniejsze ustępy traktatów w tym względzie opiewają:

„Dla podniesienia ile możności rolnictwa we wszystkich częściach dawnej Polski, dla wzbudzenia przemysłu w mieszkańcach i ustalenia ich pomyślności, obiedwie wysokie strony kontraktujące, nie chcąc zostawić żadnej wątpliwości o widokach swych dobroczynnych i ojcowskich w tym względzie, umówiły się, aby na przyszłość i na zawsze dozwolili między wszystkimi ich prowincjami polskimi (od daty 1772) nieograniczonej cyrkulacji wszystkich produktów i płodów ziemi i przemysłu tychże prowincyj. Komisarze mianowani do układów podług brzmienia art. 24 (dla opłat od spławu jedynie na utrzymywanie rzek i kanałów w stanie spławności) będą również obowiązani w przeciągu miesięcy sześciu ułożyć taryfę opłaty cła wchodnego i wychodnego wszelkich płodów natury, ziemi, rękodzieł i fabryk wzmiankowanych prowincyj. Opłata takowa nie może przenosić dziesięć od sta wartości towarów w miejscu ich ekspedycji. Gdyby się obu dworom podobało ustanowić opłatę od wzajemnej importacji zbóż, ta będzie ułożona podług ceny najmniej uciążliwej przez tychże komisarzów, podług danej im instrukcji.

Dla zapewnienia, aby cudzoziemcy nie korzystali z przyjętych układów względem wymienionych produkcji, postanawia się, że wszystkie artykuły pochodzące z tych ostatnich, które z jednego do drugiego państwa będą przeprowadzane, winne być opatrzone miejscowem zaświadczeniem, bez którego wpuszczone nie będą.

W miejsce Konsula, gdyby ten był odległym, zaświadczenie miejscowej zwierzchności (magistratu) będzie przyjęte“ (art. 28. traktatu z Prusami).

„Co do handlu przechodniego (transit), ten będzie zupełnie wolny we wszystkich częściach dawnej Polski. Podlegać ma on opłacie najumiarkowańszej. Komisya wskazana w art. 26. i 28. ustanowi prawo, podług którego ta opłata ma być naznaczona i przedsięwzięcie najpewniejsze środki dla uniknienia wszelkiego rodzaju opóźnień w ekspedycyi na komorach lub innych nadużyć i uciążęń jakiegokolwiek natury“ (art. 29. traktatu z Prusami).

Nadto zgodziły się mocarstwa na wolność spławu czyli żeglugi dla mieszkańców prowincyj polskich na wszystkich rzekach i kanałach w całej rozciągłości dawnego Królestwa Polskiego (tak jak egzystowało przed rokiem 1772) aż do ujścia tak w dół jako i w górę“ i „na nieograniczoną wolność tranzytu we wszystkich częściach dawnej Polski“ (ustęp traktatu z Austryją).

Co do Krakowa, „wszystkie prawa, obligacye, korzyści i prerogatywy postanowione przez trzy wysokie strony kontraktujące w artykułach, ściągających się do właścicieli różnorządowych, amnestyi, wolności handlu i spławu, będą zastosowane do miasta wolnego Krakowa i jego okręgu“ (art. 10. traktatu co do Krakowa).

Mimo pozorów także zapewnienie nieograniczonej wolności obrotu, spławu i transita mieszkańcom Polski historycznej na całym jej obszarze niezupełnie jest jasnym, gdyż wpleciono w odnośne postanowienia uwagi o opłatach i cłach, mogące odnosić się tak do obrotu zagranicznego, jak do wymiany wzajemnej między dawnymi krajami polskimi. W każdym razie nie można wątpić o intencji Aleksandra I. zapewnienia ziemiom polskim zupełnej swobody obrotu, gdyż intencya taka była zgodną z jego marzeniem przyłączenia przynajmniej Litwy i Wołynia do Polski. Inaczej Prusy, które rozwinęły u siebie przemysł i handel wywozowy i godzić się mogły na wolność obrotu z ziemiami polskimi tylko w interesie własnego przemysłu, który jednak nie był objęty obszarem Polski historycznej z r. 1772. Stąd też Prusy starały się natychmiast skorzystać z postanowień traktatowych o wolności obrotu na ziemiach polskich, aby całkiem dowolnie rozszerzyć tę wolność nie tylko na W. Ks. Poznańskie i Prusy królewskie, ale na wszystkie ziemie pruskie. Oto już pod dniem 29. lipca 1815 r.

pojawiło się obwieszczenie <sup>1)</sup> naczelnego prezesa W. Ks. Poznańskiego (Zerboni di Spoleto), wedle którego wolno wszelkie towary fabryczne i rękodzielnicze, robione w całym Królestwie pruskim wolne od wszelkich opłat z W. Ks. Poznańskiego lub przez W. Ks. Poznańskie do Królestwa Polskiego wywozić. Obwieszczenie to brzmiało:

„Handel i związki tego rodzaju w ogólności, a mianowicie z ościennymi państwami, wymagają dla swego wzrostu największej ile można swobody. A gdy istotną jest zasadą szczerobliwego rządu uprzętać wszelkie zawady, jakieby się opierać mogły wolnej komunikacji, podaję przeto do publicznej wiadomości:

a) iż wszelkie towary fabryczne i rękodzielnicze, robione w państwach królewsko-pruskich, wolne od wszelkich opłat z W. Ks. Poznańskiego do Królestwa Polskiego wychodzić lub przez Wielkie Księstwo do Polski przechodzić mogą;

b) że urzędy celne W. Ks. Poznańskiego, znajdujące się od strony dawnych prowincyj polskich, wkrótce zostaną zniesione, a zatem handel przez nie nie będzie nadal ociążanym“.

Prusy poszły jeszcze dalej w kierunku wyzyskania wolności handlowej dla ziem polskich zastrzeżonej, dążąc do otwarcia sobie przez Polskę wolnego dowozu do całej Rosyi i swobodnego przewozu do Chin dla swoich towarów przemysłowych. Dążeniem takim wprowadziły Aleksandra I. w niezmierne zakłopotanie, ponieważ nie mógł dopuścić do odgraniczenia reszty Rosyi od ziem historycznej Polski.

<sup>1)</sup> Ob. Gazeta Warszawska 1815, dod. do numeru 63.

Kongres wiedeński i jego dzieła należą już do historii. Z postanowień w sprawie polskiej utrzymało się tylko jedno. Nie istnieje już państwo kongresowe polskie, okrom obszaru doń należącego, nie istnieje wolność miasta Krakowa, nie mają ziemie polskie pod zaborem pruskim reprezentacji i instytucji narodowych. Tylko w zaborze austriackim, w Galicyi, za panowania dzisiejszego monarchy konstytucyjnego, weszły w życie w całej pełni intencje kongresu co do narodowego przedstawicielstwa i instytucji, oraz utrzymano jedność i niepodzielność krajów łącznie z Krakowem. Między poszczególnymi dzielnicami dawnej Polski wzniesiono tak trudne do przebycia mury graniczne, że komunikacja osób i towarów, zwłaszcza z Królestwem Polskiem, stopniowo gasła i w każdej dzielnicy wytworzyły się odrębne stosunki narodowego gospodarstwa.

Ale także inne postanowienia kongresu wiedeńskiego nie miały trwałości. Sztucznie sklejona budowa państwa belgijsko-holenderskiego dla księcia orańskiego wkrótce się rozpadła. System związku państwowego w Szwajcaryi przeobraził się w ściślejszy Związek państwa związkowego. Znikł z widowni Związek państw niemieckich, znikło królestwo Hanoweru i nie masz już krajów cesarza Austrii po obu brzegach Renu. Stosunki Włoch uległy radykalnemu przeobrażeniu.

Runął cały gmach kongresem wiedeńskim wzniesiony, bo brakło mu silnych wewnętrznych fundamentów. Kongres dbał przede wszystkim o nasycenie i zabezpieczenie pewnych panujących do-

1) Ob. o tem S. Smolka „Polityka Lubeckiego“ II, str. 329 i n.

mów, zamiast pomyśleć o prawach i potrzebach narodów Europy. Może nie bez racy Fryderyk August, król saski i książę warszawski, zaznaczył w proteście z 4. listopada 1814 r. przeciw zawieraniu mu jego krajów, że „wielkim celem wojny, tak szczęśliwie ukończonej, było utrzymanie i utrwalenie legalnych tronów“. Pod tym względem między dziełami Napoleona I., burzyciela tronów, a kongresu wiedeńskiego, odnowiciela legalnych tronów, zasadniczej różnicy nie było.

Całe stulecie dzieli nas od kongresu wiedeńskiego. Zmieniły się w niem gruntownie nie tylko stosunki polityczne, społeczne, gospodarcze, ale także idee o podstawach i warunkach życia i rozwoju państw i narodów. Utrwała się coraz powszechniej przekonanie, że rękojmią „równowagi politycznej“, która od czasów pokojów westfalskiego srodze zaciążyła na stosunkach politycznych Europy, jest nie tyle odpowiedni wzajemny stosunek pod względem obszaru, ludności i siły państw poszczególnych, ile harmonia wewnętrzna w ustroju państw, wyzwolenie ujarzmionych narodów i naturalne dążenie ludów wolnych do łączności i pokojowego współzawodnictwa.

Oby przyszłość niedaleka dowiodła, że świadomość ta jest już tak powszechna i silna, iż nie będą mogły oprzeć się jej wpływowi ci, którzy powołani będą do stworzenia nowych podstaw dla bytu i rozwoju państw i narodów Europy w stuleciu 20-tym.

*Stanisław Głabiński.*

## Narody i ich filozofia.

### (Z powodu rozmyślań wojennych Wilhelma Wundta).

W marcu 1915 r. wydał 84-letni Wilhelm Wundt niewielką książkę p. t. *Die Nationen und ihre Philosophie*. Do tego tytułu dodał bardzo znaczące objaśnienie: *Ein Kapitel zum Weltkrieg*. To objaśnienie włoży napewne książkę w ręce wielu ludzi, którym filozofia jest zresztą obcą i którzy pozatem Wundta nie czytają. Ale u tych, którzy się zagadnieniami filozoficznymi, choćby tylko przygodnie zajmują, musi ona budzić zainteresowanie podwójne. Tych dodatek ów do tytułu uderza sam już jako pewnego rodzaju filozoficzny problem. Czyżby miała filozofia poszczególnych narodów jaki związek z dzisiejszą wojną?

Autor już w przedmowie daje komentarz do tego dziwnego na pozór skojarzenia. Jak charakter jednostki — powiada — objawia się najistotniejszymi swymi znamionami w affekcie, tak też charakter narodu najwyraźniej występuje w chwilach affektu zbiorowego, jaki stanowi tło psychiczne wojny. Wynika z tego, że walczą ze sobą nie tylko armaty, pieniądze i t. d., nie tylko wrogie sobie taktyki strategiczne i dyplomatyczne, ale że zmagają się ze sobą również, poruszające tem wszystkim właściwie, odrębne i w danej chwili nienawistne sobie zbiorowe — duchy.

Otóż sędziwy autor Psychologii ludów patrzy na obecną wojnę najpierwszych europejskich narodów, przedewszystkiem jako na walkę duchów i w swojej najnowszej książce usiłuje te duchy scharakteryzować, według tego, jak mu się przedstawiają na podstawie swej dotychczasowej twórczości filozoficznej.

Taki punkt wyjścia u myśliciela tej miary nadaje właśnie jego najnowszej publikacji piętno bardzo żywej aktualności wogóle, rzuca

przytem bardzo charakterystyczne światło na samego autora, a prócz tego jeszcze — jak się pokaże — daje, Polakowi zwłaszcza, do myślenia z wielu zasadniczych względów.

Rzućmy tedy okiem naprzód na treść tej pracy i na uogólnienia, do których Wundt dochodzi, a potem pomówimy o nim samym i o tem, czego się od niego Polacy, a w szczególności filozofowie polscy mogą nauczyć.

## I.

Przechodzi Wundt kolejno przejawy charakteru narodowego w filozofii Włochów, Francuzów, Anglików i na końcu Niemców. Porządek taki wprowadza na podstawie przekonania, że tą właśnie kolejną przechodziło z rąk do rąk, od czasów renesansu, berło myśli europejskiej. Czasy przedrenesansowe nie wchodziły zupełnie w jego rachubę, gdyż wówczas o indywidualnościach narodowych nie mogło być mowy, a filozofia była też dla wszystkich narodów jedna. Podwaliny pod nowoczesny pogląd na świat, tak wogóle, jak i we wszelkich jego, różnicami narodowych umysłowości nacechowanych, odmianach, położyli, jego zdaniem, właśnie w renesansowej epoce trzej wielcy Niemcy. Naprzód Mikołaj z Kuzy pierwszy ujął w całej absolutnej wielkości ideę nieskończoności. Drugi wielki Niemiec (!!) Mikołaj Kopernik, odkrył niemniej płodną zasadę względności zjawisk, zarówno w ich wzajemnym stosunku, jak w stosunku do poznającego podmiotu. Wreszcie trzeci, Paracelsus, pierwszy pojął duszę ludzką jako mikrokosm, który jest nietylko odbiciem świata, ale zarazem jego prototypem. Zrozumiał ten alchemik i astrolog, że świat musi kryć w sobie podobne siły psychiczne jak człowiek i stał się twórcą pojęcia monady, jako jednostki duchowej istoty wszechrzeczy. Tym trzem wielkim ideom danem było rozwinąć się i poraz pierwszy syntetycznie zharmonizować naprzód w kolebce renesansu, we Włoszech. Giordano Bruno Kopernikańskie skończone jeszcze univesum, ideą Kuzańczyka, w nieskończoność rozpromienił, a gdy Galileusz Demokrytową, z wszelkich jakości wyzwoloną, atomistykę uporządkował przy pomocy stałych praw mechaniki, ten sam znów Bruno uduchowił ją z kolei i z atomistyki w panpsychiczną monadologię przemienił. Tak zaś system wszechświata, platońskiemu pokrewny, utworzywszy, ujrzał w nim zasadniczy, naturalny pęd



ku absolutnemu dobru i etykę wszelką z emocjonalnych pierwiastków wywiódł. Na miejscu scholastycznego intelektualizmu, który prawa moralne na refleksyi przedewszystkiem osadzić usiłował, postawił swój, z afektu płynący, woluntaryzm.

Bruna i Galileusza uważa Wundt nie tylko za najznakomitszych, ale i za najlepszych wyobrazicieli włoskiego ducha, w jego zasadniczej niejednolitości. Gdy pierwszy jest przedstawicielem południowo-włoskiej potęgi uczucia i fantazyi, drugi natomiast objawia w pełni północno-włoską jasność rozumu, połączoną z bezwzględną energią. Dziś, gdy odrodzenie polityczne Włoch rozbudziło też na nowo włoską naukę, widzi w niej Wundt to samo przeciwieństwo dwóch umysłowych typów. Wprawdzie jak dotąd pozostaje nowsza myśl włoska w stosunku lennym wobec wpływów obcych, ale sam sposób hołdowania i obiór suwerenów ujawnia to charakterystyczne przeciwieństwo w sposób zupełnie widoczny. Gdy na północy przeważa francuski i angielski pozytywizm, południowe Włochy tymczasem ulegają wyraźnie atrakcyi niemieckiego idealizmu. Czy i kto w tej walce duchów, toczonej w obrębie jednego i tego samego narodu, zwycięży — przyszłość pokaże.

Francuskiego umysłu i charakteru narodowego najpełniejszym wyrazem jest, zdaniem Wundta, postać, praca i wpływ Descartes'a. Jasność myślenia i rozumowania, umiejętność stawiania problemów i metodycznego ich rozróżniania, zdolność do kompromisu ze zdaniem wprost przeciwnem, której podłożem jest podskórny, jeżeli już nie świadomy, sceptycyzm, a rezultatem często konwencyonalny dogmatyzm, wreszcie przekonywująca i nieledwie że fascynująca wymowa — te wszystkie *par excellence* francuskiej głowy znamiona występują u Descartes'a w całym swoim blasku i cieniu i w niespotykanej już u jego następców idealnej syntezie. Cała jego metafizyka przedstawia się Wundtowi jako kompromis materialistycznego mechanizmu ze scholastyczną teologią, podyktowany prawdopodobnie całkiem oportunistycznymi względami. Powstały drogą tego kompromisu dualizm był wprawdzie sam w sobie mechaniczny i jedynie sofistyczną wymową uczyniony niby jasnym i przekonywującym, ale za to potrzebom umysłowym swego czasu odpowiadał w zadziwiający sposób i jeszcze dziś stanowi jakby podstawowe założenie popularnej filozofii u wielkiej części wykształconych ludzi. Filozofom prawdziwym nie mógł oczywiście

taki kompromis nawet we Francji długo wystarczać i stąd musieli się jednej z dwu mechanicznie związanych substancji pozbyć. Przedtem jeszcze Piotr Bayle wysnuł jaknajdalej idące konsekwencje z Kartezjańskiego sceptycyzmu, ale ten też na bardziej jeszcze gołosłownym dogmatyzmie musiał dlatego skończyć. Natomiast materializm francuski XVIII. wieku jest właśnie pierworodnym dzieckiem Descartesa, właściwym spadkobiercą jego myśli, uwolnionej od kompromisu. Autor *Discours de la methode* jest dla Wundta do tego stopnia syntezą myśli francuskiej, że poza kartezjanizmem nie widzi on w dziejach tej myśli nic już nowego ani oryginalnego. Descartes jest dla niego nie tylko pierwszym ale i ostatnim prawdziwym filozofem francuskim. Comte nie był nim we właściwym słowa znaczeniu, Bergsonizm to kartezjanizm zmodernizowany przy pomocy niemieckiej idei ewolucji. Na polu etyki panowała we Francji, dzięki kartezjańskiemu kompromisowi, kościelna teologia moralna aż do XVIII. wieku, a tradycja jej żyje jeszcze w altruistycznym hasle *vivre pour l'autrui* u Comte'a. Prawdziwie francuska natomiast, choć pod wpływem angielskim na wierzch wydobyta myśl etyczna objawia się w XVIII. wieku dopiero, piórem głównie Helvetiusa. Ta myśl sprowadza wszelkie moralne popędy do egoizmu, jako do źródła. Rzecz cała polega tylko na tem, żeby przyrodzone namiętności ludzkie, które, wszystkie bez wyjątku, osobiste, materialne zadowolenie mają na oku tak pokierować, aby z ich wzajemnego miarkowania się powstało zadowolenie ogólne. To kierowanie jest zadaniem publicznego wychowania.

Takiemu sposobowi rozwiązania etycznych problemów, stanął wprawdzie w poprzek w XIX. wieku Comtowski (n. b. raczej religijnie niż filozoficznie uzasadniony) altruizm, ale od czegoż przyrodzony francuskiemu umysłowi kompromis? „Najwybitniejsi filozofowie“ francuscy ostatnich czasów, Foullié i Guyau, pogodzili ten altruizm z egoizmem przy pomocy teorii ewolucji. „Altruizm jest spotęgowanym i rozszerzonym egoizmem“, brzmi rezultat rozmyślań ostatniego. Jest rozrostem pędu życiowego jednostki takim, że on wykipia niejako poza nią samą i obejmuje coraz szerzej całe jej żywe otoczenie. Tylko wobec faktu, że ten egoistyczny w istocie swego pęd, może drogą owego rozrostu i rozszerzenia się dojść aż do zaprzeczenia samego siebie, słowem do ofiary z życia własnego dla jakiejś idei altruistycznej, tylko wobec tego

faktu staje Guyau, jak sam wyznaje, bezradny i mniema, że takie wypadki okrywa już mgła metafizyczna. Dla Wundta jest to wyznanie francuskiego myśliciela doskonałym wyrazem owej typowo francuskiej umiejętności kompromisowego wyslizgiwania się z napotkanych trudności i owej, nie mniej francuskiej, zdolności do przyznania sprzeczności we własnych przekonaniach. Zdolność taka, obca zupełnie Niemcowi, jest u Francuza prosto wynikiem sceptycznego podłoża jego umysłu.

Jak zaś te właśnie znamiona myślenia charakteryzują francuską umysłowość, tak znów sama teoria etyczna, w której się tym razem zdradziły, jest, według Wundta, niemniej doskonałym wyrazem francuskiego narodowego charakteru. Indywidualizm i egoizm, w najlepszym razie egoizm uszlachetniony i objawiający się jako żądza czci ogólnej i sławy, oto tego charakteru główne sprężyny. Do stworzenia obiektywnych wartości moralnych one wieść nie mogą. Mogą być pobudką moralnych, nawet moralnie wspaniałych czynów, same moralnemi w istocie swej nie są. Wszak celem zawsze im jest jednostka. Jeżeli już nie jej dobrobyt, to w każdym razie jej blask.

Że ta cała charakterystyka francuskiego ducha została z jego filozoficznej twórczości wydobyta metodą bardzo uproszczoną, to aż nadto widoczne. Ta metoda polega prosto na pewnym błędzie rozumowania, który świadomie wzięty za tego rozumowania podstawę, staje się sztuczką sofistyczną, a nazywa się *pars pro toto*. Z pośród licznych zbiorowego ducha francuskiego *partes*, obrał sobie oczywiście Wundt tę, która mu była do podstawienia *pro toto* najwygodniejszą. Pewne rysy umysłowości francuskiej, zwłaszcza tak, jak one się przejawiają u Descartes'a, podpatrzył lipski filozof istotnie bardzo przenikliwie i trafnie; ale czy można do tych pewnych, choćby nawet najbardziej charakterystycznych rysów, sprowadzić, jakby do wspólnego mianownika całą tę umysłowość elastyczną różnorodność? Czy można zwłaszcza twierdzić, że ona na jeden tylko zdobyła się oryginalny filozoficzny system, że odtąd aż po dziś dzień stoi w zaczarowanym kręgu kartezjańskich myśli i właściwości? Oczywiście, jeżeli się w ten sposób bez ceremonii naciąga fakta, że się w monistycznej filozofii Bergsona widzi „*im wesentlichen die Kartesiansche Metaphysik*“, na tej zasadzie, że na miejsce jego „*Gedächtnis und Erinnerung*“ można doskonale podstawić Descartes'a „*Körper und Seele*“ (!!) — to można wła-

ściwie wszystko. Wtedy można też bez skrupułu ewolucjonizm Bergsona przypisywać wpływom niemieckich „*Entwicklungsgedanken*“, zapominając, że Turgot i Condorcet byli w socjologii wyznawcami teorii nieskończonego postępu, a Lamarck wyznawcą teorii ewolucji w przyrodzie, już wówczas, gdy się niemieckim filozofom i przyrodnikom conajwyżej śnić o tem dopiero zaczynało <sup>1)</sup>). Wtedy można też i nad Comtem przejść pomimo jego kolosalnego wpływu na Europę, do porządku dziennego, na tej znów podstawie, że on swoje główne myśli przejął od Turgota, d'Alemberta i St. Simona. — Jakby ci trzej nie byli w dodatku także Francuzami!

Ale w tem, co mówi Wundt o przejawach charakteru Francuzów w ich filozofii moralnej, występuje takie „uproszczenie“ metody jeszcze jaskrawiej. Przecież jedną z bardzo charakterystycznych właściwości francuskiej umysłowości jest skłonność do rozważania kwestyi moralnych. W żadnej literaturze innej niema takiej obfitości t. zw. moralistów. Wundt tymczasem ignoruje to zjawisko i tych pisarzy najzupełniej. Czego się chciał dowiedzieć o moralnych znamionach francuskiego charakteru, dowiedział się od Guyau'a i to mu wystarcza. Takie dusze jak Pascal, takie pod wieloma względami typowe zrzeszenia ideowe jak Port Royal lub St. Simonieści, nie istnieją dla niego, a w każdym razie nie mówią mu widocznie nic. Rousseau'a wpływ we Francyi ogranicza tylko do dziedzin politycznej i pedagogicznej. Wpływ jego na filozofię moralną przenosi do Niemiec. Z altruizmem Comte'a załatwia się w ten sposób, że mu odmawia filozoficznego charakteru, twierdząc, że został przejęty wprost z Ewangelii. Zapomina o tem, że i tę myśl obok wielu innych zaszczerpił w duszę genialnego ucznia przedewszystkiem St. Simon, a jeszcze mniej zdaje się pamiętać o tem, że jeden i drugi i jeszcze Condorcet trzeci i cały legion wreszcie ich następców, wydobyli to najwyższe prawo moralne nie tyle z Ewangelii, ile wprost z serca ludzkiego, że wbrew Helvetiusowi, a właśnie za przykładem Rousseau'a uważali ten altruizm za przyrodzony popęd „*de la bonté naturelle*“ ludzkiej natury. A jeżeli na tem principium opiera się we Francyi cała masa utopii społecznych, to czy nie można tego faktu uznać za charakterystyczny rys ducha francuskiego (*der französischen Volksseele*), co najmniej równie dobrze jak teorye etyczne Guyau'a? I gdyby

<sup>1)</sup> Herder stanowi wyjątek a i on późniejszy jest od Turgota.

nawet taki pęd moralny wychodził naprawdę tylko z przejęcia się Ewangelią, czy stałby się przez to mniej charakterystyczny?

Tak samo i ów indywidualizm, jako stanowczo niby dominujący rys charakteru francuskiego, może budzić poważne wątpliwości. Przecież w rewolucyi francuskiej indywidualistyczna Żyronda została posłana na szafot przez fanatyczny *esprit égalitaire* Góry i do dziś dnia ów *esprit* bynajmniej w życiu publicznem Francyi żyć nie przestał.

Słowem t. zw. duch narodu jest strukturą zbyt skomplikowaną, żeby ją można wytłómaczyć pierwszą lepszą jedną sprężyną. Jeżeli charakterystyka jednego człowieka, zwłaszcza człowieka zachodu, przez którego duszę „przeszło tyle po kolei podań i zdarzeń, żalów i nadziei“... nie da się ująć w dwóch lub trzech znamionach, już choćby dla tego, że kryje w sobie mnóstwo sprzeczności, toć temci bardziej charakterystyka zachodniego narodu. Wundt zdaje się o tem zupełnie nie pamiętać. Ducha wielkich i starych narodów wciska on sobie w z góry jakby przygotowany schemat — schemat n. b. bardzo wązki i mocno zabarwiony uczuciowo, a wszystko, co tam nie bardzo przystaje, albo za włosy naciąga, albo poprostu ignoruje. Nie tylko do francuskiej i angielskiej, ale i do niemieckiej twórczości filozoficznej stosuje tę metodę, tylko z tą różnicą, że owa barwa uczuciowa schematu jest tu oczywiście całkiem inną.

Najwyraźniej przesycona niechęcią jest ona naturalnie, gdy chodzi o charakter narodowy Anglików. Pewne rysy tego charakteru są tu znów podpatrzone znakomicie i wyjaśnione genetycznie w sposób bardzo przekonywujący. Filozofia angielska zawdzięcza np. według Wundta, całą swoją samodzielność i najszybsze stosunkowo uniezależnienie się od scholastyki temu faktowi, że od najdawniejszych czasów, od Dunsza Szkota już, zdołała oddzielić od siebie wiedzę i wiarę, jako dwie zupełnie różne dziedziny. Ten rozdział zaś wynikał wprost z praktycznej, ku potrzebom codziennego życia zwróconej tendencji angielskiego trybu myślenia, który znów z kolei tłómaczy Wundt insularnem, a więc z góry na handlową przedsiębiorczość skazującym, położeniem kraju. Stąd empiryzm i sensualizm góruje w filozofii angielskiej stale i wszelkie problemy poznawcze, psychologiczne i etyczne rozstrzyga sobie ta filozofia na podstawie wyłącznie zmysłowego poznania, wstrzymując się najzupełniej od wyciągania z tych rozwiązań jakichkolwiek konsekwencji dla religijnej wiary. Wykonywa

się praktyki religijne, jakby te konsekwencye wcale nie istniały. Przekonania religijne nie podlegają filozoficznej krytyce już choćby dlatego, że nie należy drugim w ich wierze przeszkadzać. W tej wierze samej podnosi Wundt jako wybitnie charakterystyczne znamiona swobodę indywidualnego sumienia i predylekcyę do starego testamentu. Pierwsze z tych znamion wyprowadza genetycznie z dokonanej przez Henryka VIII. zamiany duchownego autorytetu na świecki. Skoro na miejscu absolutnego moralnego przymusu stanął tylko absolutny przymus państwowy, oparty na obsolutnej władzy monarszej, to wystarczyło, że ta władza runęła, aby z nią razem i ten, jedynie już tylko jednoczący praktyki religijne, przymus zniknął także. W uwolnionych już przez zerwanie z Rzymem sumieniach zakiełkowały wnet liczne sekty, a skoro to się raz stało, to zerwanie tej czysto zewnętrznej świeckiej obroży, w jakiej trzymała je absolutna monarchia, musiało już być tylko kwestyą czasu. Choć zaś zerwania tego dokonał głównie fanatyczny purytanizm, jako prąd religijny najsilniejszy i masowy, to przecież ani rozbitej raz jedności na nowo on już nie stworzył, ani nawet na rozdwojeniu tylko się nie skończyło. Proces różniczkowania, raz zaczęty, trwał dalej, wydał Independentyzm, a z tego wkońcu tak zwane angielskie wolnomysłicielstwo wyrosło. Indywidualizm taki, coraz zazdrośniej strzeżony, przeniósł się wnet z religijnego pola na polityczne i jest jednym z najcharakterystyczniejszych przejawów ducha angielskiego. Państwo jest w oczach Anglika tylko po to, aby strzegło absolutnej wolności jego osoby, myśli, uczuć i czynów. Jedynym — przyznaje Wundt, że bardzo silnym — kagańcem tej wolności indywidualnej i zarazem głównym węzłem społecznym jest, aż do przymusu moralnego posunięty, konserwatyzm obyczajowy. Ten tłómaczy sobie Wundt poczuciem Anglika, że tak jak jest, jest mu dobrze. Uważa to za typowy objaw psychiki narodu sytego. Jeżeli zaś ta sytość jest wynikiem sukcesów trzeźwej i wyrachowanej angielskiej polityki, to znów z drugiej strony jest też wynikiem tych sukcesów i duma narodowa, poczucie, że się jest plemieniem, stworzonym do panowania nad światem. To dumne poczucie mogło się zresztą ugruntować tem łatwiej, że wiara w szczególną nad narodem angielskim łaskę Bożą wyrosła już dawniej na podłożu religijnem. Owo drugie znamię angielskie w dziedzinie religijnej, upodobanie w starym testamencie, powstało, sądzi Wundt, stąd, że Purytanie uważali się za lud

wybrany i teksty biblijne odnosili chętnie do siebie. Ta wiara z religii przeszła, za wzrostem potęgi angielskiej za Elżbiety, wnet i w politykę.

Że te komentarze są czysto subiektywne, rzecz całkiem widoczna. Silne poczucie węzła społecznego i solidarności narodowej przy równoczesnem umiłowaniu i strzeżeniu wolności indywidualnej może być conajmniej równie dobrze tłómaczone wysoką kulturą moralną i głęboko w duszę zaszczeponem poszanowaniem wartości obiektywnych, ponadindywidualnych, jak owym z psychiki sytego narodu wyrastającym konserwatyzmem, którym te przymioty Anglika tłómaczy sobie Wundt. Co zaś do owego biblijnie zabarwionego narodowego mesyanizmu, który się miał, zdaniem niemieckiego filozofa, przemienić następnie w polityczny imperyalizm, to znów przypomnieć można, że takie religijnym mistycyzmem przesiąknięte pretensje do noszenia na sobie znamion szczególniejszej łaski i miłości Bożej, nie są bynajmniej czemś specyficznym angielskiem. Występują one w okresach zbiorowego afektu religijnego także u innych narodów. W sektach rosyjskich są na porządku dziennym, w Polsce, w epoce romantycznej doszły do kolosalnego napięcia, a nie brak ich w płomieniach romantycznego zapału patryotycznego francuskich także i niemieckich, prawda, że już bez tak wyraźnej religijnej, a w każdym razie biblijnej barwy. Polityczny, rozumem i wolą kierowany imperyalizm angielski mało ma chyba z takimi czysto emocjonalnymi zjawiskami wspólnego. Czyż nie prościej myśleć, że powstał on tak samo, jak imperyalizm innych mocarstw europejskich pierwszego rzędu? Że powstał poprostu jako wynik szczęścia w podbojach?

Zresztą i Wundtowi nie tyle chodziło, zdaje się, o wykrycie religijnych elementów w genezie angielskiego imperyalizmu, ile raczej o wykrycie niereligijnych pierwiastków w angielskiej pobożności. Ta pobożność wydaje mu się wogóle z charakterem narodowym Anglików zgoła nie licować, pozostawił ją bowiem prawie na boku. Za idealny wykładnik tego charakteru uważa on ich utilitaryzm w etyce, ich, jak nazywa, *Wohlfahrtsmoral*. Jak Berkeley jest dla niego dziwnym i bezpłodnym wyjątkiem w dziejach teoretycznej filozofii angielskiej, podczas gdy prawdziwą umysłowość tego narodu reprezentują w tym zakresie Bacon, Hobbes i zwłaszcza Locke, czyli empiryzm, sensualizm, materializm i zasadnicze stronięcie od metafizyki, tak znów w zakresie filozofii praktycznej

wyjątkami tylko i to w Niemczech nie w Anglii, należycie ocenionymi są Shaftesbury i Hume, a prawdziwym Anglikiem jest przede wszystkim Bentham. Fakt, że ten myśliciel nie tylko uznał dążenie do egoistycznego szczęścia za jedyną inspirację czynów ludzkich i całą etykę oparł na harmonizowaniu ludzkich egoizmów, ale że nawet poszczególne sposoby zadowolenia rozmaitych popędów ułożył w tabelarny przegląd na podstawie monetarnej skali oceny, ten fakt wydaje się Wundtowi angielskim *par excellence*. Poprzedników Shaftesbury'ego, którzy jak Ryszard Cumberland z samej natury ludzkiej wyprowadzali prawo moralne, podporządkowujące dobro jednostki ogólnemu, ignoruje zupełnie, a wśród uczniów Shaftesbury'ego i Hume'a niedbałą tylko o Adama Smith czyni wzmiankę, o Hutchesonie już milczy. A przecież naprawdę wielkie to jeszcze pytanie, czyje ziarna w większości serc angielskich żyją, Benthamowskie, czy Shaftesbury'ego i Smitha. To pewne, że w duchu zbiorowym narodu żyją jedne i drugie, jak jedne i drugie z niego wyszły. Formułka „egoistycznego utilitaryzmu“ i *Wohlfahrtsmoral* jest znów tylko z uprzedzenia a nie z bezstronnego studium wyrosłym schematem, w który ducha wielkiego narodu tylko przemocą wtłoczyć można.

Metody takiego wtłaczania nie wyrzekł się Wundt także, przystępując do syntetyzowania na podstawie filozofii ducha i charakteru Niemców. Tu nawet formułka wykładnicza znalazła się już w nagłówku. Podczas gdy tytuły rozdziałów, poświęconych Włochom, Francji i Anglii, brzmią: *Die italienische, französische, englische Philosophie*, rozdział o ojczystej filozofii zatytułowany został: *Der deutsche Idealismus*. Objawia się ten idealizm w metafizyce, wywyższeniem życia duchowego i duchowych wartości ponad życie i wartości materialne. Znalazłszy pierwszy raz wspaniały wyraz w myśli pierwszego wielkiego filozofa niemieckiego Leibniza, góruje odtąd taka koncepcja ducha, jako najwyższej rzeczywistości, ponad wszystkimi koncepcjami innymi, aż po dzisiejszy dzień. Te inne koncepcje, materialistyczne zwłaszcza, to jakby *accidentales* — istota ducha niemieckiego jest tylko w tym idealizmie. We filozofii moralnej występuje on jako etyka obowiązku. Wydobył ją pierwszy z duszy niemieckiej i sformułował Kant. A jeżeli u niego jest ona jeszcze skażona teoretycznie dogmatycznym aprioryzmem a praktycznie indywidualizmem i przemawia do jednostki w imię niej samej, to za to u Fichtego już dochodzi do pełnego



swego majestatu, jako wynikająca z najpierwotniejszego zrostu jednostki ze społeczeństwem i z przyrodzonego uwarunkowania rozwoju pierwszej postulatami drugiego. Gdy jeszcze Schleiermacher dokonał wielkiego dzieła zupełnego odłączenia moralności od religii jako dwóch, nic ze sobą nie mających wspólnego, zakresów duchowego życia, wtedy wzniosła autonomia obiektywnych wartości duchowych, niezależność ich od pozaświatowego nakazu, od jakiegokolwiek wogóle aprioryzmu, uczyniła tę etykę prawdziwą chwałą człowieczego ducha. Ostatecznego jej wykończenia dokonał jeszcze Hegel w swojej historyozofii. Jak Fichte, ten twórca ideału narodowego Niemiec, podporządkował jednostkę narodowi, tak Hegel rozszerzył jeszcze jego ideę, podporządkowując naród duchowi świata.

Gdy po 1848 r. zapanowała w Niemczech chwilowo małoduszna reakcja, czy raczej reakcyjna małoduszność, zamroczył się na chwilę idealistyczny duch niemiecki i jak praktycznie materyalnym oddał się celom, tak teoretycznie też ku materyalistycznym koncepcjom świata i życia kłonić się począł. Ale już Schopenhauer stwarza idealizmowi „skrzydła do powrotu“. On jest najlepszym przedstawicielem fazy przejściowej. Pesymizm jego jest rezultatem ogólnej duchowej depresji, ale wyrastająca z tego pesymizmu etyka miłosierdzia jest od eudajmonizmu i utylitaryzmu wszelkiego aż nadto chyba daleka. Człowiekiem zaś, który — cytuję dosłownie — *vielleicht ohne es zu wissen, jedenfalls ohne es auszusprechen, den deutschen Idealismus seiner Wiedergeburt entgegengeführt hat* — jest Fryderyk Nietzsche!

Czy może podrażniło Wundta tak częste w prasie zagranicznej piętnowanie w Nietzsche duchu dzisiejszych Niemiec, jako w najbardziej typowym, rzekomo, tego ducha przedstawicielu, czy też słabość sędziwego myśliciela do autora Zaratustry jest dawniejsza, dość, że cytowane zdanie istotnie zaryzykował. Zamiast, jak to czyniło wielu jego rodaków, zaprzeczyć Nietzsche tytułów do reprezentowania narodowego charakteru, on wolał raczej wziąć wyznawcę „płowej bestyi“ w obronę.

„Odwroćcie wszelkie wartości?“ Właściwie takiego odwrócenia u Nietschego niema. Przecież te wartości, które on ceni jako najwyższe: energia charakteru, odwaga, prawdomówność, chyba tylko przez negatywną całkiem askezę były kiedykolwiek poniżane. Jeżeli zaś w towarzystwie tych niezaprzeczonych cnót

występują w Nietzscheańskim ideale także bezlitosna pogarda i bezwzględność wobec małych, nędznych i słabych, to przedstawia się to Wundtowi raczej jako wynik artystycznej dążności do uwypuklenia tamtych za pomocą kontrastu, niż jako rezultat ścisłego myślenia filozofa, którym Nietzsche był daleko mniej niż artystą. Tłómaczy się może potrosze także i reakcją przeciwko ascetycznym tendencjom filozofii Schopenhauera. Jakoż nadczłowiek jest w każdym razie — zdaniem Wundta — daleko konsekwentniejszym rozwinięciem indywidualistycznych założeń Schopenhauerowskich, niż etyka Schopenhauera samego. Tylko jakże tu znów ten konsekwentniejszy, ale zarazem i najskrajniejszy możliwie indywidualizm pogodzić z prawdziwie niemieckim, nawskróś społecznym, idealizmem? Jakże udowodnić cytowaną tezę, że filozofia Nietzschego stanowi w duszy niemieckiej do tego Fichteańskiego idealizmu nawrót? Otóż nie sprawia to Wundtowi wcale tak wielkich trudności, jakby można przypuszczać. Przecież — powiada on — nadczłowiek nie może tych swoich władczych przymiotów zamykać we wnętrzu swej istoty. Przecież jego życie ma być życiem czynu, a ten musi mieć cele, które są poza nim, a nawet ponad nim, nie w nim. Słowem jest w koncepcji tego nadczłowieka immanentna „*Idee der Hingabe*“, jest w niej immanentne przykazanie obowiązku: „*Du sollst dich selbst dahingeben für die Aufgabe, die dir in der Welt gestellt ist*“. Wundt przyznaje, że tego Nietzsche nigdzie nie wypowiedział; ale nie wątpi, że w jego duszy to było i nie wątpi też, że w duszach jego czytelników jako „*Nachklang*“ to pozostaje.

Temu, kto się wzdryga na myśl o „*płowej bestyi*“, przypomina Wundt, że jest to pomysł przedewszystkiem artystyczny. A zresztą: „*Was hindert dieses Zukunftsideal des vollkommenen Menschen nicht mehr auf einzelne über die Masse emporragende Persönlichkeiten zu beschränken, sondern es auf den Menschen überhaupt, auf die Gattung zu übertragen?*“ Nie zaprzecza też bynajmniej, że żywiołowy optymizm tej filozofii „*als ein Reflex der Stimmung einer nach Besitz und Macht strebenden Gesellschaft erscheint*“.

Przytaczam to wszystko dlatego, że cała ta obrona Nietzschego jest najcharakterystyczniejszym może objawem, jak na tę całą książkę podziałały, do afektu przez wojnę podniesione, uczucia patryotyczne wiekowego autora. Czyżby inaczej umysł tak krytyczny nie czuł, jak bardzo naciągany jest taki wywód? Czyżby się nie spostrzegł, że całe rozumowanie, na którym się opiera

owo uspołeczniające dopełnienie nadczłowieka, jako immanentne w jego pomysle, jest pro prostu naiwne. Że katogoryczne twierdzenie, jakoby tak myślał Nietzsche i tak rozumiał go każdy prawdziwie światły czytelnik, twierdzenie bez innych dowodów prócz subiektywnego przekonania, jest niegodne filozofa?

Takich czysto subiektywnych a stronnych pewników jest w tym rozdziale książki więcej. Może rację ma Wundt, gdy twierdzi, że materyaliści niemieccy od Büchnera i Moleschota aż do Haeckla, byli i są w praktyce gorącymi idealistami. Ale czy nie możnaby tego samego powiedzieć i o wielu materyalistach francuskich? Co zaś się tyczy tego idealizmu, który Wundt ostatecznie zupełnie monopolizuje w Niemczech, to uznanie faktu, że dająca mu wyraz romantyczna niemiecka poezja i filozofia i sam Kant, który mu dał pierwszą etyczną formułę, wiele zawdzięczają w tym względzie wpływom angielskim i francuskim — uznanie na str. 74. tego faktu nie bardzo się też jakoś z owym rzekomym monopolem godzi.

Wśród takich sprzeczności, które się nieuchronnie musiały uwadze autora wymykać, jest zresztą jedna, dotycząca bliżej i nas Polaków. Gdy mianowicie na dowód żarliwej niemieckości Leibniza, a na odprawę tym, którzy go za międzynarodowego filozofa uważają, przytacza Wundt jego pismo „*Mars christianissimus*“, gwałtownie przeciwko Ludwikowi XIV. skierowane i książąt niemieckich do zjednoczenia przeciw niemu nawołujące, to my wagę takiego dowodu napewne uznamy. Ale czy natomiast pismo Kopernika, wzywające usilnie Zygmunta Starego do poskromienia Krzyżaków, czy to pismo, opublikowane przez Birkenmayera we facsimile, przekonało Wundta, że tego Kopernika zaanektował swemu narodowi niesłusznie?

Naogół można powiedzieć, że jedynie włoską filozofię traktował Wundt naprawdę bezstronnie i przedmiotowo. Rozdział jej poświęcony, tak wyraźnie różni się pod tym względem od następnych, że wprost budzi się w końcu podejrzenie, czy nie wpłynął na tę różnicę fakt pisania książki na parę miesięcy jeszcze przed datą 24. maja 1915 r. Kończące ten rozdział, przyszłości rzucone pytanie, czyje wpływy, niemieckie czy francuskie i angielskie we filozofii i w duchu Włoch zwyciężą, kojarzy się z podobnem, tak aktualnem w chwili tworzenia rozprawy, pytaniem politycznem i nabiera niemal symbolicznego znaczenia.

Co do stanowiska natomiast, jakie Wundt zajął wobec Francji i Anglii, to można powiedzieć nawet, że jest ono wprost polityczne raczej niż filozoficzne. Rozdziały o filozofii tych narodów są pisane na z góry obroną tezę i są jakby osobistym udziałem autora w tej wojnie duchów, którą on ponad gigantycznym zmaganiem się narodów widzi. Widzi te duchy skrzydlate pieśniami narodowymi, każdemu z nich umiłowanymi i mniema, że właśnie te skrzydła są najbardziej uproszczonym, w jeden symbol niejako ujętym ich wyrazem. I wyraz ten mówi mu o każdym z nich to samo, co powiedziała filozofia. „*Le jour de gloire est arrivé*“ we francuskiej Marsyliance, oto wykładnik francuskiego ideału. „*Ehre und Ruhm*“, oto są dla Francuza najwyższe wartości życia: cześć i sława naprzód dla jednostki, potem dopiero, z niej promieniując, dla ojczyzny“. Podobnie w angielskiej „*Rule Britannia!*“ brzmią mu głośno i nienawistnie angielskiej duszy najwyższe pożądanja: Potęga i Panowanie — *Macht und Herrschaft*. Niemiecki natomiast naród z pośród licznych swych pieśni patriotycznych umiłował sobie w końcu najbardziej tę, która mówi o jego *Festigkeit und Treue*: „*Fest steht und treu die Wacht am Rhein!*“

Warto przypomnieć, że podobnie u nas starał się kiedyś wczytać w dusze narodów za pośrednictwem ich najpopularniejszych pieśni Cieszkowski. Czynił to w drugim tomie *Ojczenasz* w 1837 czy 1838 jeszcze gdzieś roku. Wtedy niemiecka piosenka zdawała mu się „wzdychać za niedopełnionem jeszcze, choć nieuchronnem, o ile naturalnem plemion własnych zjednoczeniu“. Wołała: „*Das Vaterland muss grösser sein*“. Francuska natomiast była ta sama co i dziś. Ale Cieszkowski rozumiał ją inaczej niż Wundt. On wołał na pierwszy niż na drugi jej wiersz zwrócić uwagę i owo „*Allons enfants de la patrie*“ świadczyło mu o „żywem dziecku dla matki poświęceniu“. Wundt, gdy tę *gloire* z drugiego wiersza tak dogmatycznie jako osobistą, jednostkową, interpretuje, o istnieniu pierwszego wiersza Marsylianki widocznie zapomniał.

(Dokończenie nastąpi.)

Józef Ujejski.

## Legion Mickiewicza.

### I.

Niejednokrotnie spotyka się dziś po dziennikach i czasopismach polskich wyjątki z niewyczerpanej spuścizny duchowej wieszczka, o którym wyrzeczono słusznie, że stał się wyrazem najgłębszych dążeń rozdzielonego narodu i że z niego poszli wszyscy, którzy, w następnych pokoleniach, te najgłębsze dążenia chcieli utrzymać, rozwinąć, urzeczywistnić. Był więc Mickiewicz rodzajem narodowego objawienia, które objaśniano, stosownie do kierunku i indywidualności, najrozmaiciej, które wprowadzono wreszcie do poezyi. Stał się bowiem jakby legendą otoczoną nimbem świętości, urósł do wymiarów nadludzkich symbolu, uzewnętrznił najwyższe napięcie ducha, który głosił religię serca, był gotowy na męczeństwo, dążył do urzeczywistnienia ducha boskiego w narodzie, w narodach mu pokrewnych, w ludzkości wreszcie. Taki duch nie ma nic wspólnego z obowiązującymi formami życia, ogarnia wszystko pod kątem nieskończoności, trwa w pamięci narodu mimo zmian poglądów, mimo wichrów dziejowych, mimo działań czasu, niszczonego wiele złudzeń i wywodzącego na jaw surową prawdę drugiego wieku rozbiorów.

Jeżeli poezya oświeciła w ten sposób tego wielkiego ducha, nie inaczej mówią o nim świadectwa dotyczące organizacji filomatów, utworzenia mesyanistycznej rotty czterdziestu czterech, wreszcie ukształtowania rzymskiego legionu. Widzimy w tych objawach czynu wieszczka spełnienie haseł, wypowiedzianych na wstępie, dowód, że sprzął się on nierozzerwalnie nie tylko ze swym narodem, ale i z narodami mu pokrewnymi i ludzkością. Widzimy, że szedł on zrazu z prądem liberalnym, który pragnął jednak udu-

chować, potem społecznym, gdy liberalny wyszedł na korzyść tylko jednej warstwy. Duchowo nie należał do żadnego stronnictwa, stał samotny w swej wielkości i dążeniu, które rozumiało mało współczesnych. Filomatyzm miał bowiem przywrócić duszom czystość, którą utraciły w niewoli, towianizm dbał o utrzymanie napięcia wewnętrznego wzniesionego nad wychodźcze swary i przemijające kierunki, doktryna społeczna wiązała się z ówczesnym socjalizmem tylko bardzo luźnie, a mianowicie w dążeniu do wyzwolenia ludów ujarzmionych.

## II.

Wszystko, co działo się zaś w Europie, napawało Mickiewicza nadzieją, że mimo ciężkich rozczarowań i zawodów, jego naród nie tylko nie zginął, ale odegra w dziejach nawet rolę przodującą. Najniższym szczeblem tej nadziei jest filomatyzm, który rosnąca reakcja europejska uczyniła z organizacji naukowej polityczną. Okazało się bowiem, że zamiast wolności obiecanej przez rządy po upadku napoleońskiego uniwersalizmu, nastął powrót do starego porządku. Odżyły więc hasła rewolucyjne, zwłaszcza w uniwersytetach, które były ośrodkiem liberalizmu. Nie wolteryanizm jednak, jak to było dawniej, ale rousseanizm kształtował dusze i stał się podstawą poglądu na świat. On podniecił do obrony narodowej duszy przeciw zatruciu niewolą, on ograniczył prawa jednostki, on nawoływał do spełnienia obowiązku mimo wszelkich przeszkód. Zrywając z kosmopolityzmem oświecenia, wywiesił sztandar nacyonalizmu nawskrós jednak humanitarnego i pozbawionego pierwiastków egoistycznych i drapieżnych. Wodzem tak pojętego nacyonalizmu stał się Mickiewicz w epoce powszechnych dążeń do przekształcenia świata w duchu humanitaryzmu, w których doniosłą rolę, zgodnie z historyozofią herderowską, miał odegrać szczerp słowiański.

W tych dążeniach uczucie, instynkta natury, która jest dobrą, filozofia daleka od rachuby i kompromisów z sumieniem, stanowiły podstawę psychologiczną. Idealizm wzniesiony nad zewnętrżność, opierający wszystko na doświadczeniu wewnętrżnym, utrzymujący przez objawienie wewnętrżne związek z jednością bytu, zarysował się w filomatyzmie już wcale wyraźnie. Jeżeli nie był religią, był dążeniem do niej. W istocie stanowił wyraz uczucia,

gest młodości, odruch entuzjazmu, odwróconego od starego porządku i biorącego w ramiona ideał widzialny tylko oczyma ducha. Rozbłysły w nim idee tkwiące nie tylko w narodzie ale i ludzkości, które musi gardzić płazami egoizmu, a kochać jedynie mocarzy burzy i przełomu, wiodących ją ku spełnieniu zasad niszczonych przez egoizm, podkopywanych przez drapieżność, tłumaczonych opacznie przez ludzi o kulturze czysto zewnętrznej, a w istocie pełnych podstępów i nienawiści.

Takiego poglądu się nie dyskutuje, taki pogląd się narzuca wiarą w jego spełnienie niezachwiane nawet prześladowaniem reakcji. Przemiana Gustawa w Konrada w bazylińskiej celi odnosi się bowiem tylko do zwycięstwa odniesionego nad pragnieniami osobistymi. Miały one znaczenie raczej zewnętrzne, nie uzbroiły romansowego bohatera przeciw światu. Pierwiastki konradowe tkwiły w duszy Gustawa przed jej odrodzeniem. Czy nie był on bowiem twórcą filomatyzmu przed tem, co nazwał odrodzeniem, a co było tylko chwilowem zboczeniem z raz wytkniętej drogi? Czy w czasie wygnania do Rosyi stracił wiarę w głoszone hasła? Nie podobna przecież zapomnieć, że Puszkina, mówiąc o tych czasach, charakteryzował poetę jako człowieka dalekiego od nienawiści, nawskróś pokojowego, patrzącego z góry na życie. Nie podobna przecież zapomnieć, że nienawidził on tylko reakcji, że wallenrodyzmem łudził jedynie despotów, że przyjaciołom zwierzał się z pragnieniem nadejścia epoki, w której wszystkie narody zarzucą walkę i złączą się w jedną rodzinę. Wallenrodyzm nie godził tedy w żaden naród, gdyż nienawiść ubliżałaby humanitaryzmowi. Gdy zaś przyszła katastrofa listopadowa, poeta stanął na rozdrożu, jak gdyby chciał potwierdzić puszkiniową charakterystykę.

Albowiem otwarł się przed nim nowy widok świata, w świetle którego walka orężna narodu z narodem musiała mu wydać się czemś przeciwnem jego pojęciu, przyszłości własnego narodu i ludzkości. Jeszcze za pobytu w Rosyi wszedł przecież w krąg myśli, zdążających wytrwale do odkrycia zagadki przyszłości. Pod ich naporem upadało wszystko, co było spadkiem oświecenia, rewolucyi, walki jednych z drugimi na tle społecznem lub narodowym. Pod ich naporem wzmacniało się dążenie do jedności, dążenie do ciągłości, dążenie do tradycyi, z których najwyższą jest chrześcijaństwo. Czy w świetle uczuć chrześcijańskich wszelkie zło, za jakie należy także poczytywać niewolę, nie jest tylko karą, nie

jest tylko próbą? Całe narody cierpią za drugie, w świetle uczuć chrześcijańskich nawet niewola ma swe wyjaśnienie, ma swe pocieszenie. Porządek boski, wbrew porządkowi ludzkiemu, łączy wszystkich w jedność, do której instynktowo dążą też wszyscy. I dlatego Konrad, w chwili najwyższego wzniesienia duchowego, broni nie tylko religii uczucia, ale, zjednoczony z własnym narodem, uważa naród i siebie za ofiarę.

Nie głosi nienawiści do żadnego narodu, odnowienie własnego narodu pragnie zacząć od odnowienia dusz jednostek, gdy, przeniknięty do głębi chrześcijańskim poglądem na życie, marzy o polepszeniu dusz na wychodźstwie, apostołuje za tem polepszeniem w formie napomnień w stylu biblijnym, w formie artykułów publicystycznych, w formie wykładów historii literatur słowiańskich, z pod których wyłania się właściwie apostoł jedności, ciągłości, tradycji. Czy nie głosił w tych napomnieniach dalej religii miłości, przeciwstawionej polityce interesu, który wyobrażała Europa? Miał już więc religię miłości, wolności, braterstwa, mającą przodować innym w odrodzeniu i wzywającą do wygładzenia złego z oblicza ziemi. Jak w filomatyzmie, był i w tej religii, która skryształizowała się w końcu w towianizmie, powiew siły, zapału, entuzjazmu. Przepajała ją wiara w dobroć natury ludzkiej, napełniało przekonanie o chrystusowej ofierze narodu za wolność ludzkości, za którą iść musiało jego wyższe duchowe posłannictwo. Ewangelią tego narodu nie miały być księgi oszukańczych dyplomatów, ale objawienie chrystusowe, którego zasady wcielił w dziejach naród słynny z rycerskości, ale i chylący się przed wolą boską,

Okolo tych napomnień, artykułów, wykładów miał się skupić legion wychodźców, jak niegdyś filomatów. Albowiem mieściły one wiarę w zmartwychwstanie narodu, który wstanie własną mocą, wzywały do gotowości duchowej, ostrzegały przed obcemi doktrynami, które psują ducha i dadzą się zastąpić odwieczną wiarą religijną, umiłowanie tradycji narodowych, pogardą ziemskości i związkiem ze światem nadzmysłowym. W nich bowiem tkwi jedność, ciągłość, tradycja, niezwalczona ani humanizmem, ani gallomanią, ani nowszymi prądami zachodnimi. Nadchodzi zaś epoka przełamania egoizmu, drapieżczości, ucisku narodowego, epoka wcielenia odwiecznych tęsknot i marzeń, epoka urzeczywistnienia słowa boskiego w dziejach, w praktyce prywatnej i publicznej. Nie reformy ziemskie lub krwawe rewolucye, ale dążenia ewolu-



cyjne na drodze oświecenia dusz, wprowadzenia narodu na drogę boskich wskazań, uczynienia z tego narodu czynnika przodującego z władzą słowa uzewnętrznioną w jednostce wyższej od reszty, przygotowują nową epokę.

### III.

Przeczuwał taką jednostkę de Maistre, przeczuwał i Mickiewicz, by widzieć w swym narodzie narzędzie myśli boskiej na globie. Torował jej drogę wykładami w Collège de France, stał się nią w chwili burzy i przełomu. Wszakże był nią dla filomatów wileńskich, częściowo dla wychodźstwa, którego programy nasiąkały dawno mesyanicznymi teoryami. Organizacja wileńska była już czynem, była nim także rota czterdziestu czterech towiańczyków. O czynie, jako owocu ofiary ducha, marzył Mickiewicz w pragnieniach naśladowania Chrystusa. Miał ten czyn być marzonym dawno ujęciem w ręce narodu, przodującego władzy duchowej, miał ten czyn być wskazaniem, że i mała liczba, jeżeli ożywia ją siła wewnętrzna, duch boski, związek z nieskończonością, może dokonać cudu.

Zdawało się mu, że ten cud przyspieszy rewolucję, której metod nie podzielał dawniej. Widząc jednak, że Pius IX. odznacza się duchem liberalnym, że Karol Albert wypowiedzi wojnę jednemu z filarów reakcji, przypomniał sobie słowa litanii pielgrzymskiej, w której prosił przeciw Boga Jagiellonów, Sobieskich, Kościuszków o łaskę modlenia się, zwyczajem przodków, na polu bitwy z bronią w ręku, przed ołtarzem, zrobionym z bębnow i dział, pod baldachinem, zrobionym z orłów i chorągwi naszych. Widział też, że naród dawno pogrzebiony, wstaje z grobu, by otrzymać na drogę wolności błogosławieństwo papieskie. Czy mógł więc nie spieszyć do Rzymu choćby pieszo? Czy mógł nie myśleć o czynie wbrew woli najbliższych sobie towiańczyków? Dawniej nie liczył na dynastję, teraz chciał oprzeć się choćby o jedną, skoro potrzebę władzy duchowej narodowej w liberalnym papieżu wykazywał dawno.

Jako rewolucjonista nie mógł mieć poparcia u zachowawców, którzy obawiali się przewrotu, jako towiańczyk nie mógł mieć uznania u katolików. Szedł sam, gdyż nawet demokracja ironizowała jego postąpienie. Upokarzał się wobec ludzi, którzy mu nie ufali, by tylko zjednać ich dla swej myśli. We Francję zwątpił,

gdyż nie dopełniła ona swych zobowiązań względem ludu, szukał oparcia w znieprawionym przez wychodźstwo Rzymie. Optymizmem przepełniała go zaś rewolucya szerząca się nawet w Wiedniu. I wtedy począł tworzyć trzecią formację w życiu czyli legion rzymski, który zobowiązywał się iść na pomoc ujarzmionym, liczył na głos krwi ludów narodowi polskiemu pokrewnych, marzył o wyprawie do ojczyzny w myśl wskazań Dąbrowskiego. Liczba legionistów była zrazu znikomą, imponowała jednak duchem, jak niegdyś filomaci a niedawno towiańczycy. Jego duchowemu wodzowi pobieliał już włosy piąty krzyżyk, miał on przecież entuzjazm lat, w których pragnął ruszyć z posad bryłę świata. Przepełniony tym entuzjazmem, wykladał papieżowi swą teorię o nowej epoce ducha, opartą o dobrą z natury duszę ludu, swój legion uważał za zastęp chrystusowy, mający rozrosnąć w większy, szczególnie w chwili, gdy stanie na ziemi bratniej, potem polskiej, i wywiesi na swym sztandarze słowa elektryzujące już dawno pewne żywioły w krajach dzierzonych przez reakcyę.

Jakiem było tedy brzmienie owych piętnastu artykułów, które złożyły się na tak zwany symbol rzymski? Pierwszy głosił potrzebę czynów wolnych ducha chrześcijańskiego. Znaczyło to, że muszą one wynikać z czystej woli, nie pochodzić z żadnego przymusu, nie być ujęte w żadne formy, jakie zalały ducha w katolicyzmie. Drugi żądał, by prawo ewangeliczne stało się prawem narodów, jak tego domagało się wiele stronnictw wychodźczych. Trzeci uważał za konieczność, by Kościół katolicki był stróżem tego prawa. Czwarty objawiał, że w Polsce ma urzeczywistniać się słowo. Cztery inne mówiły o duchu polskim służącym słowu, o wolności wyznań, o odrodzonej ojczyźnie, o wolności słowa pańskiego, o równości wszystkich wobec prawa. Siedm ostatnich stanowiło obieralność urzędów, zrównanie warstwy żydowskiej w prawach z resztą ludności, nadanie praw obywatelskich kobiecie. Każdy pobratymiec miał mieć równe prawa w państwie, innym narodom obiecano pomoc chrześcijańską. Co się tyczy własności, obiecywał ją wódz legionu rodzinie i gminie, gdy chodziło o chłopów; inną własność polecił szanować i oddać pod straż urzędowi. Legioniści przyjęli te artykuły z zapałem, zdawało się, że cała armia ludów stanie na nogi, by rozpocząć pochód ku wolności nie tylko polskiej, ale i europejskiej. Ton przemówień wodza stawał się coraz bardziej uro-

czysty. Ścisnął on niejako w nich całą treść swej nauki, miłością jednoczył wszystkich, by wcielić w siebie niejako rysy męża, o którym mówiło widzenie drezdeńskie, o którym mówiły wykłady paryskie.

Teokracja stanowiła zaś jakby podstawę systemu, w który wchodziła dopiero Polska ze swą boską misją w dziejach. Czy nie odpowiadała ona bowiem dążeniu do jedności, jak urzeczywistnienie słowa boskiego odpowiadało dążeniu do ciągłości? Duszą ludu jest bowiem jego tradycja, ojczyzną jest społeczność żywych i zmarłych, którzy sprawiają, że ojczyzna istnieje, że różni się od tego, co jest przygodnem i przemijającym. W tych dwóch naczelnych zasadach oparł się o myśli de Maistre'a, by zresztą odsunąć się od niego republikańskim, wolnościowym, idealistycznym kierunkiem w urzędzeniu stosunków wewnętrznych. Wszakże w Wilnie marzył już Mickiewicz o wszechwładzy ludu, w Paryżu opierał też przyszłość o udział ludu, który miał teraz w papieżu i królu włoskim jedyne swe narzędzia. Uczucie dyktowało zwięzłe zasady symbolu. uczucie nie kazało zważać na pokątne intrygi arystokracji i demokracji polskiej. Była jednak w symbolu i negacja indywidualnej własności w odniesieniu do chłopów, którzy wtedy własności nie mieli.

Czy może była ona w związku ze wspólnością słowiańską, podniesioną wysoko w jednej z odezw do towiańczyków? Prawdopodobnie. Symbol stanowił rodzaj odezwy do ludów, miał pociągnąć pod chorągiew polską ogół ludzi, podzielających pogląd wodza. „*Aide politique de parenté —* mówił piętnasty artykuł symbolu — *est due par la Pologne au frère Bohème et aux peuples consanguins de Bohème — au frère Russe et aux peuples Russes. Aide chrétienne à toute nation comme à son prochain*<sup>1)</sup>“. Pogląd puszkiniowy na Mickiewicza odpowiadał widocznie prawdzie. Największy wieszcz narodu nie nienawdził nikogo; zadanie narodu pojmował tak zgodnie z nauką ewangeliczną, że wyciągał dłoń zgody nawet w epoce reakcyi mikołajowskiej. Wallenrodyzm stanowił bowiem tylko epizod, z wyżyn, na które wstąpił, musiał paść jedynie głos miłości, odzywający się już w widzeniu drezdeńskim. Etyczna do głębi doktryna nie znosiła idei zemsty, choć jedynie Polsce przeznaczała rolę mesyaniczną.

<sup>1)</sup> *Mémorial de la légion polonaise de 1848*. T. I. Paris, 1867, str. 70.

Tego stanowiska Mickiewicz nie opuścił z powodów, które wyjaśnia droga prowadząca go do symbolu. Wiadomo przecież, że zawsze przeciwstawiał Polskę Rosyi jako wyobrazicielkę wolności wschodniemu despotyzmowi. Ale wyżej od rachunków dziejowych stawał prawo ewangeliczne, które miało uregulować stosunki między narodami. Wierzył w jego zwycięstwo, choć rzeczywistość sprzesięgała się przeciw niemu. Papież zawodził, król nie zapalał się do hasła legionu, Francya nie mogła narażać się na walkę z państwami zaborczemi. Osnowa działania darła się szybko; należało, po dniach czynu, wrócić znów w krąg domowej lampy i żyć życiem, pozbawionem nadziei na długo. Minęły objawy sympaty, zbierane po miastach włoskich, pozostało wspomnienie głębokiego zawodu, który jest udziałem szeregu pokoleń porozbiorowych, kładących nowe ofiary na ołtarzu tej samej idei. I nic dziwnego, że w piersiach współczesnego poety zadźwięczał w obrazie tej pamiętnej epoki ton pesymizmu. Jego widzenia przybrały charakter grozy, choć ich twórca pojął wyraźnie, że sprawa legionu nie była tylko sprawą ziemską. Była, jak poprzednie i następne sprawy, ofiarą może nie bezpłodną, ale wywołującą w sercu Wyspiańskiego bolesne zwątpienie, czy miniona wielkość wróci, czy naród nie zmieni się w cmentarz krzyżów płonących błękitnie w nocy, czy nadejdzie ranek wyzwolenia z więzów niewoli i gorszego od więzów zepsucia niewolą.

*Tadeusz Grabowski.*

## Notatki.

Dzisiaj w Galicyi rozlega się coraz głośniejsze hasło: brońmy ziemi. Obawa przed wywłaszczeniem odwiecznych posiadaczy przez napływowe elementy przestaje być już udziałem nielicznej garstki ludzi, których głos był niedawno jeszcze głosem wołającego na puszczy, a przenika coraz silniej wszystkich i grupuje ich do podjęcia konkretnych działań obronnych. Strach pomyśleć, jak wiele zaniedbano przedtem w tej dziedzinie, żałować wypada, że świadomość tej pracy zbudziła się tak późno; ale nie wszystko stracone i wiele można odrobić. Zajęcie się tą sprawą przez polski ogół w Galicyi ma nie tylko bezpośrednie znaczenie. Przedstawia również wielką doniosłość z stanowiska ogólnonarodowego. Po prostu pojęcie Polski przez zrozumienie tego niebezpieczeństwa, przez szeregowanie się do walki z niem, staje się bardziej pełnem, bardziej uchwytnem. Czas już, by wszystkich przeniknęło przekonanie, że Polska, to przede wszystkim ziemia i ludzie, że bez tych elementarnych czynników bytu narodowego trudno marzyć o lepszej przyszłości. Z górą półtora roku opinia wielu sfer w Galicyi żyje „wielką“ polityką; jak grzyby po deszczu wyrosli dyplomaci, bujający w obłokach, czekający manifestów, oświadczeń, żyjący długie miesiące beznadziejnymi plotkami. Samo życie, sam obrót wypadków wskazuje, że najważniejsza praca jest nie ta, która buduje wciąż nowe Polski, jak domki karciane, i coraz nowe dla nich wykreśla granice, lecz ta, która dla prawdziwej Polski zachować chce w naszych rękach ziemię i chce na tej ziemi ratować i oszczędzać ludzi. W miarę, jak coraz bardziej rozszerza się to przekonanie, Galicya staje się bliższą pozostałym dzielnicom Polski, bo przyjmuje jedną z przewodnich zasad ich narodowej polityki. W ten sposób najlepiej wyrówna się różnica tak groźna

dla naszej przyszłości; wtedy wszyscy już tutaj naprawdę zrozumieją Wielkopolskę i Królestwo Polskie. I przekonają się, że gdy dzisiaj Kazimierz Morawski i Stanisław Tarnowski podnoszą hasło ochrony ziemi, to nie przemawia w ich słowach nic innego, jak ów osławiony „materyalizm“ tamtych dzielnic Polski.

\* \* \*

W chwili, w której przenika wszystkich poczucie ochrony ziemi, w tej chwili zakończył na wygnaniu swoje życie człowiek, który swoje imię, swoją działalność naukową i praktyczną jak najściślej związał z tem hasłem. Zmarły w miesiącu styczniu w Kijowie prof. Józef Milewski już przed laty 30 rozpoczął swoją działalność pracą, wydaną w Poznaniu pod charakterystycznym tytułem: „W sprawie utrzymania ziemi w naszym ręku“. Pisał on w tej pracy słowa, które i dziś powtórzyć warto: „Utrzymanie ziemi w naszym ręku jest niezaprzeczenie wielkim celem, wielką ideą narodową, dla której warto i trochę grosza i trochę przekonań poświęcić... Gdy z wielką ideą

młodzież chętnie spieszyła do obozowisk, chętnie pod narodowym się stawiła sztandarem; niechaj ona nie omieszka i pod tym nowym naszym się stawić sztandarem, bo na nim wielkie wypisane hasło, hasło utrzymania podstawy sił żywotnych naszej narodowości, utrzymania ziemi w naszym ręku“.

Całą jego działalność przenikała głęboko idea narodowa. Różnił się tem od innych jako uczonec i jako polityk, że jakkolwiek główną część życia spędził w dzielnicy galicyjskiej, nigdy nie zatracił ogólnopolskiego horyzontu i każdą sprawę oceniał z szerszego punktu widzenia. Był przeciwieństwem tak rozpowszechnionego tutaj typu działaczy partykularnych, dla których faktycznie inne dzielnice Polski stały się niemal obce, a którzy w każdym razie okazali w obecnej swej działalności wybitną ich nieznanomość. Warto przypomnieć słowa, które ś. p. Milewski wypowiedział w r. 1912 w przedmowie do drugiego zagadnienia narodowej polityki: „Wypadki bałkańskie i grożąca ewentualność wielkiego europejskiego konfliktu poruszyły żywo umysły, dały pochop do przeróżnych manifestacyj. Ze smutkiem stwierdzam wspólną cechę wielu tych objawów: wybitny prowincjonalizm, nie umiający objąć i rozważyć całości narodowego interesu, nie rozważający dostatecznie szansy zysku i ryzyka szkody dla całego narodu,

dla całości i przyszłości naszych zagadnień. Prowincjonalizm ten szedł tak daleko, że jedna część chciała decydować za całość, swawolnie wolę mniejszości całości narzucić, narażając przytem innych, a nie siebie na główne niebezpieczeństwa, a to nie jest odwagą“.

Krótkie te urywki charakteryzują jasno postać ś. p. Milewskiego. Była to osobistość w tutejszym świecie naukowym, politycznym i finansowym jedna z najwybitniejszych. W dziwnym kontraście z tym faktem, z wielkimi zasługami ś. p. Milewskiego i szerokiem uznaniem, którem się on cieszył za życia, pozostaje milczenie, z którem w Krakowie przyjęto wiadomość o jego zgonie. Czy śmierć w dzisiejszych czasach stała się już tak codziennym zjawiskiem, czy fala wydarzeń wojennych o wszystkim zapomnieć każe, dość, że nawet ci, którzy ś. p. Milewskim chlubili się zawsze, którzy wysuwali go nieraz na najtrudniejsze postęrniki, nie zdobyli się na poświęcenie mu pośmiertnego wspomnienia.

\* \* \*

Spotykają nasz naród zewsząd objawy sympaty i uznania. Zdobywają się na nie nawet ci, którzy przedtem dla nas mieli w najlepszym razie milczenie. Niewątpliwie wielką rolę gra w tem wszystkim interes polityczny, -chęć pozyskania czynnika, którego lekceważyć nie można. Ale nie wszystko można tłómaczyć politycznemi pobudkami. U wielu przebijają się naprawdę bezinteresowne motywy, których tłem jest może nie tyle współczucie dla najbardziej nieszczęśliwego z pośród narodów, lecz raczej uznanie faktu, że naród nasz mimo wszystko przetrwał i w najtrudniejszych warunkach objawia wzmoczoną żywotność. W żywym jednak kontraście do tej lepszej o nas opinii w świecie pozostaje u niektórych z pośród nas gorsza, nawet niekiedy bardzo pesymistyczna ocena naszych właściwości i zdolności. Skargi te rzadko przenoszą się w drukowane kartki, ale często można je słyszeć w życiu codziennem. Są ludzie, którzy na punkcie aspiracyi narodowych objawiają nadzwyczajną pokorę. Ileż razy słyszy się w odpowiedzi na dalej sięgające postulaty narodowe te słowa: Ach, czy my tego jesteśmy warci! Czy my damy sobie radę! Są ludzie, którzy własny naród uważają za jakiegoś niesfornego terminatora, potrzebującego surowej ręki majstra, któryby go nauczył porządku i ładu. Zapominają oni, że każdy majster uczy tylko swo-

jego rzemiosła, a naród musi sam wyrósć i kierować swoimi losami. Zapominają oni, że nauka u obcych czasem przynosi zaturę własnej osobowości. A przytem za tę naukę trzeba bardzo słono płacić.

Jest objawem bardzo niezdrowym, gdy ktoś jest tak wpa-trzony w obce wzory, w obcą sprawność, że poczytuje swój naród za nic w porównaniu z nimi. Jest to objaw równie szkodliwy, jak wybujałe samochwalstwo narodowe, jak mania wielkości, którą objawiają niektóre małe narodki. Trzeba pamiętać, że wiele naszych wad, wiele naszych braków wynika z warunków, od naszej woli niezależnych, a z chwilą zmiany tych warunków na lepsze zjawia się i potrzebne zdolności i potrzebne urządzenia, wypłyną na powierzchnię tłumione dzisiaj zasoby energii. *Tr.*

\* \* \*

\*

Jest w Polsce jedno magiczne zaklęcie, przed którym korzą się z uległem wzruszeniem prostaczkowie, a składają broń niekiedy wydyscyplinowane mózgi i za którym, niby za bezpiecznym parawanem, ukrywa się przed rewizją niemało błędów naszej przeszłości i terażniejszości. Zaklęciu temu na imię: wierność tradycyi. Te dwa słowa swym czarem tajemnym działają na umysł polski unieruchamiająco, jak słodkie dźwięki harfy Lilli Wenedy na kłębowisko węzów. Świeżo właśnie w pewnej dyskusyi, toczoney na wyższych piętrach naszej myśli politycznej, zabrzmiały one jako argument ostatni i nieodwołalny. Ileż razy słyszeliśmy je na niższych pięterkach, w świątecznych artykułach gazet, na bankietach, zjazdach i uroczystościach, z namaszczeniem i z szerokim wypowiedane gestem, wyrażające wszystko i nic. Trudno temu niemal dać wiarę, a jednak tak jest, że to wiele i nic nie mówiące wskazanie zjawia się na ustach polskich często jako wskazanie — uniwersalne. I w tej postaci staje się ono komunałem bezmyślnym, czczym i co gorsza, niebezpiecznie śliskim. Któraż bowiem zbiorowa niedorzeczność, czy zaniedbanie, czy wina, nie była w naszych dziejach zgodna z tradycją?!

Przez wieki całe głosił tradycyjny komunał, że naturalnem zadaniem plemienia polskiego jest uprawiać ziemię i ćwiczyć się w rzemiosle wojennem, zostawiając resztę zadań komu innemu; doświadczenie okazało, w jak żalony sposób mądrość ta odbiła się na naszych losach. Naprzykład:



Posiadaliśmy dwa brzegi morskie, mogliśmy z nich uczynić jedną z podstaw narodowego bogactwa. Znaczenie komunikacji morskiej rozumieli niegdyś dobrze nasi Bolesławowie, którzy w krwawym trudzie dążyli do zawładnięcia Pomorzem, czyniąc z tego oś swej dalekowidzącej polityki. Atoli właściwe chęci narodu wypowiedział parafialny statysta XVI. wieku w lapidarnem zdaniu: „łabędziowi orać, Polakowi pływać — jedna rzecz“, i to stało się naszą tradycją święcie dochowywaną. Ci, co zamierzali coś przeciw niej wskórać, byli marzycielami, jak Władysław IV., kandydatami na bankrutów, jak Prot Potocki. Pływali tedy i bogacili się za nas inni. Zmarnowaliśmy nietylko ważne źródło siły państwowej i narodowej. Doprowadziliśmy do tego, że główna arterya wodna, przepływająca nasze ziemie, płynie przy ujściu swem na obszarze napół tylko polskim, że jedyne portowe miasto naszych ziem było i jest obcoplemiennem, że na ostatnich nawet skrawkach Bolesławowego Pomorza polskość skurczyła się, albowiem tam na mocy przyrodzonego rzekomo podziału funkcyj w naszym zastępstwie pracował i wpływy swoje gruntował kto inny, gdy my dworując sobie z pływania po morzu, niby z jakiegoś dziwoląga, trzymaliśmy się oburącz sochy. Stało się to zatem „zgodnie z tradycją“.

„Zgodnie z tradycją“, która ściśle przepisała nam zakres funkcyj wewnętrznych, złożyliśmy gospodarkę handlową w obce ręce i tej tradycji dochowujemy wzorowo wiary aż do ostatnich czasów. Jak niegdyś wśród rozkwitu szlacheckizny, tak samo jeszcze dziś uważamy za rzecz uświęconą wiekami, naturalną i nietykalną, że sprzedawać winien Żyd, kupować Polak. Dzięki temu jesteśmy ubożsi o parę miliardów narodowego mienia, brak nam całej jednej warstwy społecznej, która gdzieindziej bywa olbrzymim zbiornikiem siły i doczekaliśmy się chwili, iż niektórzy goraco kapani statystycy zagraniczni, znajdując nagromadzoną w Polsce masę obcego żywiołu, odkrywają w nas już nową Macedonię, a w ślad za nimi spieszą felietonowi i niefelietonowi mężowie stanu, pragnący urządzić nas według reguł należnych krajom narodowo mieszanym. To także zawdzięczamy „wierności tradycji“. Pod płaszczykiem tradycji zakonserwowaliśmy wybornie niektóre formy naszego niedołęstwa, jak np. tak zwaną tolerancję polską, która utraciwszy dawno swą treść właściwą, zamieniła się w samobójczą „cnotę“ biernego znoszenia wszelkich elementów napływo-

wych, choćby jawnie wrogich, wtedy, gdy sto razy silniejsze narody uprawiają pod tym względem skrajną — nietolerancję.

Widzimy tedy, że „wierność tradycyi“ może być sprowadzona do absurdu.

Po powierzchni tego komunału, przestronnej jak ogólnik, gładkiej jak bezmyślność, należałoby posuwać się z całą ostrożnością, aby nie stracić pożądaney równowagi. Są bowiem tradycye i tradycye. Strzeżmy tych, co sprzyjają rozwojowi naszych sił, wypleńmy te, które prowadzą do ich zniknu. Wobec nieustaloney zaś niekiedy dość jasno granicy i chronicznego u nas panowania frazesu nie zawadzi odrobina nieufności i podejrzliwej chęci rewizyi wobec kaźdej z osobna, choćby ją wyobraźnia pokoleń przystroila we wszystkie kolory tęczy i choćby figurowała jako artykuł wiary w katechizmie — zawodnych prawd polskich.

A. Ch.

\* \* \*

W warszawskim „Tygodniku Ilustrowanym“ zamieścił p. Adam Grzymała Siedlecki artykuł p. t. Rok 1863, w którym rozprawia się on z paru komunałami, które, bez pożytku zresztą dla czci, należney ofiarom sprawy, wiązały się później z pamięcią tego roku. Między innymi omawia on zdanie, utrzymujące, że trzeba było wybuchu dla podtrzymania ducha narodowego i drugi równie desperacki pogląd, jakobyśmy nie mieli już wtedy „nic do stracenia“. Ponieważ pisma warszawska wyjątkowo u nas znajdują rozpowszechnienie, warto zamieścić tutaj parę wyjątków z wspomnianego artykułu:

„To też dziś spadkobiercy romantyzmu politycznego wysuwają już nie ten argument, nie tę tezę korzyści, jakaby mogło przynieść powstanie, gdyby, jeśliby etc., lecz zwracają uwagę na wartość moralną, na zysk narodowy, jaki dla przyszłości przyniosł ferment umysłów i zapalność serc. Wygłaszają pogląd, iż dzięki powstaniu, dzięki idei zbrojnego ruchu, nawet dzięki szubienicom i sybirnym męczarniom, przeszedł przez naród żywszy rytm polski, społeczeństwo ocknęło się z marazmu, a przez nienawiść do tych, którzy naszych ojców prześladowali, nie zapomnieliśmy, że jesteśmy Polakami.

Trudno sobie wyobrazić potworniejszą obelgę, rzuconą w twarz Polsce, nad obelgę, zawartą w tej koncepcyi. Coś upokarzającego,

a równocześnie do dna kłamiwego jest w tej niewierze w ducha Polski. Więc Polska ojców naszych, Polska jeszcze Mickiewicza, Matejki, Polska z duchem Kościuszki, z duchem Sniadeckich, Polska dziewięciowiekowej cywilizacji, Polska wychowująca Marcinkowskich, Sienkiewicza, Curie-Skłodowską i Paderewskiego, Polska, w której działał Kraszewski, Korzeniowski, Fredro, Polska uwłaszczająca chłopa, Polska w tych właśnie paskiewiczowskich czasach słynna ludźmi w całej Europie, Polska, o której kulturze z podziwem pisze Mazzini — musiałyby mieć dopiero wpakowany pod zebro śmiertelny szpikulec, żeby się poczuć jestestwem?

Więc my, tysiącletni naród, bez uczucia nienawiści ku komuś — nie moglibyśmy się zdobyć na pozytywną miłość ojczyzny? Więc trzeba było grobów, ran, dźwięku kajdan, by w Polsce drgnęło życie? Zaiste bezczelność okrutników myśli przekracza czasem granice wolności sądów!

„Poza „galwanizującymi grobami“, poza utratą resztek polskich urzędzeń administracyjnych, sądowych i szkolnych, słowem poza ruiną społeczeństwa, rok 1863 zostawił nam w spadku jeszcze jeden zapis: hasło rozpaczy i pewnego rodzaju nihilizm polityczny. „Polska nie ma już nic do stracenia!“ — ten okrzyk przewodził dyskusjom, na których chłodniejsi, realnie patrzący ludzie próbowali odwieść młodzież od szaleństwa. Ale ówczesnej partyi czerwonych położenie kraju, nawet przy zamierzanych reformach Wielopolskiego, wydawało się nicstwem. „Albo niepodległość, albo nie!“ Cokolwiekby otrzymała Polska poniżej *maximum* marzenia, to według nich, było nic. Nic więc nie mieli do „stracenia“, niczem politycznie nie ryzykowali. „Gorzej niż jest, być nie może!“ Rychła rzeczywistość ujawniła złowrogo, że może być gorzej, może być stokroć gorzej. Okazało się dowodnie, że Polska roku 1862 miała wiele do stracenia. Społeczeństwo, naogół biorąc, umiało z tych doświadczeń wyciągnąć naukę. Ale nie całe społeczeństwo. Żywioly radykalne nic nie postrzegły, nie miały sposobności uczynić zestawienia między rokiem 1863 a 1883 lub dalszemi laty. Nauczyły się na pamięć frazesu: „Polska nie ma nic do stracenia“ — i z uporem Kaspra z „Nikt mnie nie zna“ powtarzają to do dziś dnia.

Tragiczny fałsz! Niema tak niepomysłnego położenia, przy którymby Polska nie miała do stracenia jednej choćby rzeczy: —

Polski! Bo przypatrzmy się choćby przykładowi roku 1863. Generacya mesyanistów stawiała wszystko, w swoim pojęciu, na jedną kartę. Przegrała. Robiła, co mogła, by utracić to „nic“, jakim było, ich zdaniem, nasze położenie polityczne. Straciła. W oczach ludzi, idących na męki sybirne, Polska przyszłości wydawała im się pustynią i wspomnieniem po narodzie Wenedów. Czy rzeczywistość sprawdziła ich wyobrażenia? Po stokroć nie! Mimo klęski, mimo represye, mimo cały zarobek ich czynu, Polska pozostała narodem i społeczeństwem. Miała lata letargu, nie doczekała się co prawda ani cienia tej samoistności politycznej, z której korzystała przed rokiem 1863, ale nieśmiertelna energia, poczucie narodowe i zrozumienie błędu, jakim był rok 1863, pozwoliło nam z resztek i gruzów budować zlepek urzędzeń, instytucyi, życia polskiego. Oto dowód, że naród, dopóki choć jeden człowiek zeń pozostanie, ma zawsze coś do stracenia. Ma do stracenia przyszłość, jaka z samowiedzy narodowej da się wysnuć i musi się wysnuć, o ile jej poświęcimy żelazną, twardą, bezawanturniczą moc swojej woli. Naród, hazardujący systematycznie, ma zawsze do stracenia nie tylko swoją przeszłość, ale i tysiące lat swojej przyszłości!“

\* \* \*

Wybitny filozof z Marburga, Hermann Cohen, równocześnie jeden z przywódców duchowych żydowstwa w Niemczech, wydał w ostatnich czasach dwie broszury: „*Ueber das Eigentümliche des deutschen Geistes*“ (1914) i „*Deutschtum und Judentum*“ (1915), które streszczają się w zdaniu: „Chcemy jako Niemcy być Żydami, jako Żydzi Niemcami“. Wykazuje on głębokie wewnętrzne pokrewieństwo ducha żydowskiego i niemieckiego, uwidoczniające się w całym rozwoju historycznym Niemiec, w ich kulturze i filozofii. Spodziewa się on, że to zjednoczenie, które się uwydatniło w czasie wojny, wyda praktyczne owoce; że „jedność, która powstała między Żydami a Niemcami, w końcu obecnie jako prawda kulturalno-historyczna rozświetli zarówno niemiecką politykę i niemieckie życie narodowe, jak i niemieckie narodowe uczucie“.

Wyciągniętej ręki nie chwycono w Niemczech skwapliwie, znaleźli się i tacy, którzy ją wprost odepchnęli. W „*Preussische Jahrbücher*“, w zeszytcie grudniowym z r. 1915, Dr. M. H. Böhm z Strasburga występuje stanowczo przeciw przesłankom filozofi-

cznym tezy Cohena, a praktyczne jej wnioski odrzuca bez zastrzeżeń. Jego zdaniem, ogólne poczucie nie wie nic a nic o konstrukcji Cohena. W tem poczuciu żyje antypatya krwi, oparta na przeciwieństwie. „Można ubolewać nad formą, którą ona przybiera tu i ówdzie po stronie niemieckiej. Każdy czujący delikatniej Niemiec to robi, nie potrzebuje jednak odrzucać wyłączności, panującej wśród naszego ludu pod niektórymi względami... Ale to, co w pierwotnych stadyach ludzkości jest nienawiścią i nieświadomą antypatya, to wśród natur bardziej wykształconych może się przeobrazić w spokojną świadomość wzajemnej ostatecznej obcości i odrębnego ukształtowania... Jeżeli ma być dopuszczalną asymilacya, to asymilacya na zupełnie nowych oparta podstawach, odrębna od tego, co się dotychczas rozumiało przez ten wyraz. Możnaby uważać za takiego Żyda, który przejdzie do europejskości z pełną i niezamąconą świadomością, że wyrzeka się siebie samego, swej własnej przeszłości; który nie wysnuwa teorii łączącej razem rzeczy, niedających się pogodzić, lecz który — być może z krwawem sercem i stanowczą powagą, wymaganą przez tak straszną ofiarę — porzuca swoje tradycye, nadzieje, nawet zaufanie do głęboko wkorzenionych instynktów, aby odtąd wrócić w coś nowego, co pojmuje i w co wierzy, jako w los swojej przyszłości“. Zdaniem tego autora Niemcy mają właśnie swojego wroga w tej pozornej europejskości, przesiąkniętej głęboko żydowstwem, „która brała za drogę do prawdziwej ludzkości ciągle postępy racjonalizmu w nauce i życiu, która była głuchą na istotne pobudki życia, ślepą na jego kwitnące bogactwo“.

Poglądy Böhma wywołały polemikę dość gwałtowną i gorące sprzeciwy ze strony żydowskiej. Rzecz jasna, że mogą niejednemu nasunąć różne wątpliwości. Ale z jednego względu warto na nie zwrócić uwagę i pod tym względem nie są one odosobnione. Stawiają one problem duchowego wpływu żydowstwa, zapatrują się krytycznie na pytanie, czy te pierwiastki umysłowo kulturalne, które drogą asymilacji mogą wsiąknąć w niemiecką duchową strukturę, dadzą się z nią pogodzić. Obawy o to były żywe w Niemczech już dawniej, przecież już Theodor Mommsen nazwał zasymilowanych Żydów „fermentem kosmopolityzmu i rozkładu narodowego“. Te obawy odżyły znów w ciągu wojny obecnej, w ciągu której Niemcy poddają rewizji swój stosunek do innych narodów.

Problem ten stawiają bardzo poważnie Niemcy, naród bardzo potężny, o urobionej już na trwałe fizygnomii duchowej; stawiają go mimo tego, że Żydów w Niemczech nie ma znów tak wielu. Jak doniosła ta kwestya musi być dla narodu, który będzie regulował swój stosunek do liczącego parę milionów obcego żywiołu, osiadłego na jego ziemi! Trzeba zrozumieć, że kwestya asymilacyi jest nietylko kwestyą ekonomiczną i polityczną, lecz potrąca o istotne podstawy naszego rozwoju narodowego; trzeba to bardzo dobrze zrozumieć, jeżeli się chce istotnie te sprawy rozstrzygnąć „według zachodnio-europejskich wzorów“. J.

\* \* \*

W ubiegłym roku ukazała się w Warszawie księga zbiorowa, wydana pod redakcją Artura Górskiego i przy przeważnym jego literackim współdziałaniu, p. t. „Godło“. W tej książce zamieścił Edward Abramowski bardzo ciekawe rozważania, zatytułowane: „Człowiek dzisiejszy“. Widzi on charakterystyczną cechę dzisiejszego człowieka w tem, że jego dusza podzieliła się, że inne są teorie, hasła, zasady u ludzi, a inne ich postępowanie; innem jest życie wewnętrzne, a innym życie na zewnątrz: „tak, dzisiaj niemożliwym jest poznać człowieka po jego życiu; trzeba posłuchać, co on mówi lub pisze; wtedy dopiero dowiemy się o jego idejach. Ideje bowiem, a jeszcze bardziej ideały, są to rzeczy odświętne, nastrojowe, potrzebujące pięknych słów, mądrej szaty frazesów. Nadaremniebyśmy szukali ich w życiu codziennem. Tam niema dla nich miejsca“.

Słuszne te uwagi żadnej może dziedziny nie dotyczą tak silnie, jak naszego życia społeczno-politycznego. Nie zawsze można obyć się w polityce bez kompromisu, ale fatalną jest polityka, która jest oparta tylko na kompromisach. Pod tym względem ostatnie czasy przyniosły bardzo wiele jaskrawych przykładów. Inne przekonanie na wewnątrz, a inne zupełnie działanie, to rzecz tak codzienna, że już poprostu przestała ludzi dziwić. I przyzwyczailiśmy się do tego widoku, że są ludzie, należący do instytucyi, których działalność potępiają, a mimoto ani na chwilę nie myślą zerwać z taką instytucyą. Są grupy, w których każdy z członków, prywatnie zapytany, powie bez wahania, że czarne jest czarne; ale wszyscy razem, gdy się zejdą, oświadczą publicznie, że czarne jest białe. Podstawą wszelkiego działania społecznego

cznego jest poczucie odpowiedzialności i zasadnicza zgodność wewnętrznych przekonań z zewnętrzną działalnością. Tej zgodności brak zbyt wielki, natomiast często święci tryumfy oportunizm. Niejeden prowincjonalny polityk uważa się za bardzo niebezpiecznego dyplomate, który musi niejedno udawać i w tem udawaniu widzi treść swojej polityki. A ten stan rzeczy nie zmieni się dopóty, dopóki ci ludzie wzroku swojego nie zwrócą ku bardziej rozległym horyzontom.

M. N.

\* \* \*

P. Naumann, wybitny polityk niemiecki i poseł do parlamentu, napisał w „*Polnische Blätter*“ W. Feldmana w Berlinie artykuł w sprawie polskiej. Stajemy tam w szeregu ludów za Rumunami, Serbami, Bułgarami, Czarnogórcami, Turkami..., każe nam bowiem poseł Naumann udowodnić, że jesteśmy zdolni do samorządu. Nie pisze przytem, jak długo miałyby trwać ten egzamin i w jakim zakresie, na co zwraca uwagę p. Koskowski w „*Kuryerze warszawskim*“. Niektórzy politycy rosyjscy — jak wiadomo — dawali nam stale dylemat: jedni mówili, że, otrzymawszy samorząd, będziemy tak silni, iż się staniemy niebezpieczni, a zatem dawać go nam nie można w imię *sacro egoismo*, drudzy zaś wykładali nam, że jesteśmy tak dziecinni, iż, dostawszy samorząd, nie będziemy umieli się z nim obchodzić i możemy ponieść szkodę, więc go nam nie należy dawać — w imię miłości bliźniego. Oba rozumowania niewątpliwie zdążały do tego samego celu.

\* \* \*

W ciągu obecnego przesilenia wojennego zasady prawa międzynarodowego lekceważą niektóre rządy, lekceważy i opinia publiczna. Dzieje się to nietylko dlatego, że w wojnie wogóle prawo ustępuje przed siłą, lecz również z tego powodu, że wielu kwestyi nie przewidziało i nie uregulowało dokładnie prawo, tak, że teren dla nadużyć jest bardzo rozległy. Mimo to trzeba stwierdzić, że żywą jest wiara w postępy tego prawa po wojnie, w możliwość jego szerokiego rozwoju. Temu przekonaniu dał niedawno mocny wyraz prof. Fr. Liszt, jedna z największych powag świata w tej dziedzinie. Równocześnie nie słabną naukowe badania nad tem prawem. Tak np. zjawiła się niedawno praca jednego z wydawców „*Jahrbuch des Völkerrechts*“ Dr. Karola Struppa, p. t. *Das*

*internationale Landkriegsrecht* (Frankfurt 1914). Zawiera ona teksty uchwał konferencji haskich, potwierdzonych przez wszystkie państwa wojujące, dotyczących prowadzenia wojny lądowej, zaopatrzone obszernymi komentarzami.

Nie miejsce tu, by poddawać to dzieło dokładnemu naukowemu sprawozdaniu. Ale na jeden punkt warto zwrócić uwagę. Ponieważ znaczna część naszego narodu żyje w terytoryach, okupowanych przez zdobywcą armię, warto i szerszemu ogółowi przypomnieć parę postanowień, którei się rządzą władze okupacyjne.

I tak art. 43. uchwał konferencji haskiej z r. 1899, powtórzony bez zmian w roku 1907, postanawia, że władza okupująca „przedsięwzięcie wszystkie środki, którymi rozporządza, by ustalić i zabezpieczyć porządek i życie publiczne, szanując, wyjąwszy absolutną niemożność, ustawy obowiązujące kraju“. Według art. 44., rozszerzonego w r. 1907, „zabronionem jest stronie wojującej zmuszać ludność okupowanego terytoryum do dawania wyjaśnień o armii przeciwnej lub o jej środkach obronnych“. Dalej (art. 45.) „jest zakazanem zmuszać ludność okupowanego terytoryum do składania przysięgi nieprzyjacielskiemu państwu“. Według art. 47. „rabunek jest wyraźnie zakazany“. Według art. 48. władzy okupującej przysługuje prawo pobierania podatków i opłat według zasad w tym kraju obowiązujących, ale z tego wynika dla niej zobowiązanie do pokrywania kosztów administracyi zajętego obszaru w tych rozmiarach, w jakich do tego był zobowiązany prawny rząd tego kraju. Natomiast jeżeli poza tymi podatkami władza okupująca pobiera inne kontrybucye pieniężne, „może to zrobić tylko na potrzeby armii lub zarządu tego terytoryum“ (art. 49.). Ważnem jest postanowienie art. 50., które mówi dosłownie: „Nie wolno nakładać żadnej zbiorowej kary pieniężnej czy innej na ludność z powodu czynów indywidualnych, co do których nie można uważać, by ona za nie była zbiorowo odpowiedzialna“. Według art. 51. „kontrybucye można nakładać tylko na podstawie pisemnego rozkazu i pod odpowiedzialnością generała głównodowodzącego. Przy pobieraniu tej kontrybucyi będzie się postępowało, o ile to jest możliwem, według reguł poboru i rozdziału obowiązujących podatków. Za każdą kontrybucyę wystawi się opłacającą ją pokwitowanie“. Art. 52. reguluje kwestyę rekwizycyi. Według niego wolno ich wymagać od gmin i ludności „li



tylko na potrzeby armii okupującej“. Muszą one pozostawać w stosunku do zasobów kraju i nie może z nich wynikać obowiązek brania udziału w działaniach wojennych. „Za świadczenia naturalne będzie się, o ile to jest możliwe, płacić gotówką; w innych wypadkach ma się wydać potwierdzenie odbioru i wypłatę należnej sumy ma się uiścić możliwie najprędzej“. Do tego ustępu dodaje Dr. Strupp komentarz, prawniczo nie zupełnie uzasadniony, że „obowiązek wystawiania kwitu nie pociąga za sobą żadnego obowiązku jego uregulowania ze strony państwa wystawiającego“ (s. 109).

Inne artykuły haskiej konferencji dotyczą kwestyi konfiskaty własności państwowej, kwestyi kolei żelaznych, administracji własności państwowej, stanowiska własności gminnej, ochrony zabytków itd. Wszystkich tych postanowień, regulujących stanowisko władzy okupującej na okupowanym terytorium, jest stosunkowo niewiele i w szczególach z powodu zbytniej ogólnikowości mogą się nasunąć kwestye wątpliwe. Co do zasadniczego stanowiska ludności okupowanego terytorium sprawa uregulowana jest zupełnie jasno i nie pozostawia żadnych dwuznacznych punktów.

§§.

\* \* \*

W wydawanych przez prof. H. Delbrücka „*Preussische Jahrbücher*“, w numerze za miesiąc luty, zamieszczony jest na wstępie artykuł pastora W. Lehmana p. t. „Udział Boga w wojnie“, który ujmuje znaczenie wojny z oryginalnego stanowiska. Podkreśla on ogromną siłę, którą przedstawia wojna, przeobrażając gruntownie wszystkie nasze stosunki życiowe. „Nie tylko, że ona zmusza nas do zajęcia nowego, jaśniejszego stanowiska w stosunku do innych narodów, wymaga ona też niezbędnie coraz to nowego wmyślenia się w najtajniejsze zagadnienia życia i poglądu na świat. Pod tym względem musimy być niemal wdzięczni za to, że wojna trwa długo. Nie byłoby dobrze, gdyby ta masa zagadnień, którą wojna kryje w sobie dla rozumu i uczucia, pograżyła się znów w zapomnienie wraz z burzliwym okresem początkowym, który te zagadnienia raczej zaciemniał niż wyjaśniał przez namiętne na nie odpowiedzi, przez ostre i gwałtowne rozwiązywanie nawet i najgłębszych trudności. Im dłużej trwa wojna, tem bardziej dojrzałymi ona nas robi do ujrzenia sięgających pod

niebo jej problemów i tem bardziej roztropnymi w usiłowaniach ich rozwiązania“.

Wreszcie znalazł się ktoś, kto z nowego zupełnie stanowiska ocenił znaczenie długiego trwania wojny. Szanownemu pastrowi Lehmannowi pomaga ona w rozważaniu jego poglądu na świat i ludzi, które to rozważanie nie byłyby może tak głębokie, gdyby wojna skończyła się wcześniej. Przecież widzimy, że nie wszyscy pragną gorąco końca wojny, że są jeszcze ludzie, którzy umieją ocenić jej przedłużanie się z bardziej wzniosłego stanowiska.

## Sprawozdania.

Antoni Chołoniewski: „Istota walki polsko-rosyjskiej“. Kraków, 1916.  
Nakładem księgarni G. Gebethnera i Spółki.

Autor podejmuje pytanie, co było źródłem historycznej walki polsko-rosyjskiej, która — mechanicznie dziś przecięta — trwała przez cztery wieki naszej historii. Znane wskazywanie na przeciwieństwo kultur, wschodnio-bizantyńskiej i zachodnio-łacińskiej, których sprzeczność fatalistycznie musiała jakoby prowadzić do antagonizmu, uważa autor za objaśnienie jednostronne i niedostateczne. Doświadczenie dziejowe wskazuje, że narody o różnorodnych kulturach znajdowały nieraz wspólną linię interesów (Litwa, łącząc się z Polską, miała już także w znacznym stopniu kulturę wschodnią), a kulturalnie blisko spokrewnione żyły w stosunkach wrogich. Polska i Moskwa pozostawały w walce ze sobą, lecz równoległe z nią objawiała się, od Zygmunta Augusta poczynając, wzajemna dążność do unii państwowej, która najsilniejsze nateżenie osiągnęła w powołaniu na tron moskiewski królewicza Władysława, a następnie i później. Sama też kultura polska silnie oddziaływała na Moskwę, tak dalece, że w w. XVII. w wyższych warstwach społeczeństwa moskiewskiego piśmiennictwo i język polski były modne, jak później francuskie. Kontrastów kulturalnych nie można uważać za istotę dziejowego zatargu między Polską i Rosją; jest to tylko współczynnik. Treścią tego zatargu była rywalizacja o ziemie zachodnio-ruskie, rywalizacja natury pierwotnie państwowej, nie kulturalnej (jeszcze na początku XIX. w. Rosya sama polonizuje te ziemie). Polska i Moskwa, dwie silnie zarysowane indywidualności narodowo-polityczne, oddzielone były ludnością, która nie przejawiała dość wybitnie aspiracji własnych i stała się płaszczyzną dla wrogiego spotkania się sąsiadów. Do ziem rusko-litewskich Moskwa ma pretensje już od końca XV. w. z tytułu jednowierstwa i współplemienności, te same pretensje Polska bierze w spadku po Litwie, — dwie ekspansje państwowe skrzyżowały się ze sobą w walce o władzę na jednym terenie. To współzawodnictwo, trwające trzy wieki i będące zarzewiem chronicznych walk, kończy się naszą przegraną, przyczynia się w znacznej części do upadku Rzeczypospolitej, ale przeciąga się w zmienionej postaci i poza rozbiory, jest treścią wszystkich naszych wielkich ruchów politycznych w ostatnim stuleciu. Rosya w r. 1812 nie ma ani kawałka obszaru ściśle polskiego, front nasz jednak zwraca się przeciw niej w imię odzyskania ziem rusko-litewskich. Królestwo Kongresowe ginie dlatego, że nie chce politycznie

zrezygnować z Litwy, autonomia Wielopolskiego upada dlatego, że twórca jej milczy o Litwie. Było to przedłużenie naszej starej ekspansji państwowej. Nasza zdolność rewindykacyjna z pokolenia na pokolenie umniejszała się, lecz rozpęd myśli politycznej w kierunku raz wykreślonym trwał, niwecząc wszelkie próby kompromisu, a w szczególności kompromis z r. 1815 i 1862. Tragedyą naszą jest to, że ani nie zrezygnowaliśmy ze wschodnich nabytków, ani nie potrafiliśmy ich spolszczyć i spoić ze sobą tak rdzennie, jak np. naród niemiecki zasymilował zachodnią Słowiańszczyznę i Prusy, a byliśmy za słabi, aby te nabytki obronić, względnie je odzyskać. Nie sprzeczność więc latynizmu i bizantyzmu, których pogodzenie nie leżało poza granicami możliwości, — kończy autor, — lecz polityczna prężność nasza ku ziemiom litewsko-ruskim, krzyżująca się z taką samą prężnością moskiewską, była głównym motorem dziejowym walki polsko-rosyjskiej. Nie było tu przyrodniczego jakiegos fatalizmu, była wolna gra interesów.

\* \* \*

Houston Stewart Chamberlain, *Neue Kriegsaufsätze*. München 1915. Głośny autor „Podstaw XIX. stulecia“, które przed laty wiele narobiły hałasu, w ciągu obecnej wojny okazuje dużą ruchliwość pisarską. Na tle wydarzeń wojennych kreśli on szereg wytwornych a namiętnych szkiców, poświęconych charakterystyce walczących stron, celom i właściwościom duchowym biorących w niej udział narodów. Sam Anglik z nazwiska i pochodzenia, nie ma litości dla swojej dawnej ojczyzny; również i Francya, w której się wychowywał, nie przedstawia się jego oczom w jasnych kolorach, natomiast w śmiały sposób, zgodnie z swoimi dawniejszymi poglądami, obrazuje on przodowniczą rolę Niemiec.

Trudno tu streszczać jego poglądy, warto jednak zwrócić uwagę na myśli, zawarte w szkicu p. t. „*Deutscher Friede*“. Przez „niemiecki pokój“ nie rozumie on chwilowego zawieszenia broni, lecz ukształtowanie stosunków światowych zgodnie z misją dziejową Niemiec, dla dobra kultury całego świata. Nie może to zaraz nastąpić, walka dopiero się zaczęła. „Może trzeba będzie całego szeregu wojen, by na tyle zawaładnąć Francją, Anglią i Rosją, by posunąć tak daleko przekształcenie Europy, otwarcie Azji, osadnictwo Afryki, opanowanie rasy żółtej i czarnej, by mogła być mowa o niemieckim pokoju w mojem rozumieniu tego wyrazu. Trzeba zdać sobie sprawę z tego, co znaczy walka z Anglosaksonami, rozsiadłymi na połowie kuli ziemskiej, których odwagę i wytrwałość ciężko wyczerpać; ale na słowie: „Anglia“ jeszcze nie koniec. Niemcy rozpoczynają zapasy, które przez całe pokolenia wymagać będą najwyższego napięcia wszystkich sił; muszą na to się uzbroić. Wiele jeszcze zrobić może Anglik przez swoje stalowe nerwy, Rosyanin przez swoje masy niezmierne, Francuz przez swego wiecznie niespokojnego ducha“.

„Jest to walka ogromna, walka między dwoma ideałami, nieniemieckim i niemieckim, między dzikością a obyczajem, między nieuctwem a wykształceniem, między najpospolitszą żądzą pieniądza i poglądem życiowym, w którym wartość pieniężna jest tylko środkiem a sama w sobie niema wartości, między materialistyczną anarchią rządów silnego a usiłowaniem, by różnorodne życie państwowe tak zorganizować, by uzyskać we wszystkich dziedzinach najwyższe ludzkie świadczenia“. Różnica między tymi poglądami występuje już w ciągu wojny. Niemcy nie chcą np. niszczyć kraju zajętego, jak to zamierzają Anglicy, lecz przeciwnie

„kierownictwo armii w kraju nieprzyjacielskim przedewszystkiem troszczy się nie tylko o to, by pod fachowem kierownictwem chronić wszystko, co ma wartość historyczną i artystyczną, lecz i to, by natychmiast puścić w ruch wszystkie fabryki, przemysły, kopalnie i warsztaty, by poprawić to, co zepsute, uzupełnić to, czego brakuje, tak że niektóre zakłady lepiej teraz pracują niż przed wojną; równocześnie dla rolnictwa, hodowli bydła, robi się wszystko, co możliwe“. A więc jedna strona sieje śmierć, a druga życie. Pod nową postacią toczy się tu stara walka między dniem a nocą, między Ormuzdem i Armenem.

Jak Chamberlain wyobraża sobie ten przyszły pokój, o tem dokładniej nie mówi, uważając zastanawianie się nad szczegółami za rzecz przedwczesną. Podkreśla tylko ogromne znaczenie, które w przyszłości będzie miała i już teraz ma państwowa siła organizacyjna.

Ze studjami Chamberlaina zapoznać się warto, otwierają one bowiem w każdym razie bardzo szerokie horyzonty, przynoszą myśli sięgające dalej, niż codzienne wojenne wiadomości. Trzeba się liczyć jeszcze z jedną okolicznością. Na zapatrywania Chamberlaina nie każdy w Niemczech się zgodzi, ale każdy zna i czyta jego różne „*Kriegsaufsätze*“. Rozchodzą się one w setkach tysięcy egzemplarzy w ciągu obecnej wojny, co z jednej strony jest świadectwem wielkiego zapotrzebowania poważnej, stawiającej szerszej problemy narodowe publicystyki, z drugiej zaś dowodzi niewątpliwie olbrzymiego wpływu, który wywiera ten przybrany syn Niemiec na swoich współziomków. Te właśnie względy każą wydobyć z powodzi broszur wywody Chamberlaina i zwrócić na nie uwagę szerszego ogółu.

\* \* \*

Dr. Przemysław Dąbkowski, *Nauka prawa w szkołach wydziałowych i podwydziałowych Komisji Edukacyjnej (1773—1794)*. We Lwowie 1915. Zainteresowanie sprawą szkolnictwa, które zwłaszcza w Królestwie Polskiem przybrało konkretne formy, obudziło zdrowy prąd do tego, by w naszej przeszłości szukać wzorów dla budowy przyszłości i skorzystać z jej doświadczeń. Dzięki temu powstała między innymi praca St. Sempotowskiej o Reformie szkolnej z r. 1862, wydana w Warszawie w r. 1915, podobnie na tem tle wyrosła poważna treścią rozprawa cytowanego w nagłówku autora, której warto poświęcić kilka uwag sprawozdawczych.

Ku działalności Komisji Edukacyjnej zwracały się niejednokrotnie już badania naszych uczonych. Mimo to jest jeszcze wiele do zrobienia. Walny postęp naprzód oznacza rozpoczęte przez prof. Teodora Wierzbowskiego wydawnictwo materiałów, dotyczących Komisji edukacji narodowej. Daleko jeszcze do ukończenia tego wydawnictwa, mimo to już dotychczas ogłoszone materiały są bardzo obfite i ciekawe. Skorzystał z nicu umiętnie prof. Dąbkowski, by opracować kwestyę nauki prawa w szkołach Komisji Edukacyjnej; kwestyę na pozór specjalną, ale w istocie rzeczy bardzo charakterystyczną dla dziejów naszego odrodzenia narodowego w wieku XVIII. To też warto, by tę książkę wziął do rąk nie tylko historyk i nie tylko pedagog zawodowy.

Autor ugrupował materiał w sposób następujący: Najpierw zajmuje się poszczególnymi przedmiotami prawa, nauczonymi w szkołach wydziałowych i podwydziałowych. Osobnych przedmiotów jest bardzo wiele, bo prócz nauk prawnych, w ścisłem słowa znaczeniu, jak prawa przyrodzonego, cywilnego, narodów, pol-

skiego i kościelnego, wchodzi tu także żywo interesująca w owym czasie umysły nauka ekonomii politycznej, która według ówczesnych pojęć, urobionych pod wpływem fizyokratyzmu, stanowiło jedno z zastosowań prawa przyrodzonego, jeden człon w jego systemie. Na podstawie sprawozdań nauczycieli obrazuje autor pojmowanie przez nich danej gałęzi wiedzy, które dowodzi u niektórych z nich dość wysokiego poziomu umysłowego i pewnej samodzielności; zapoznaje szczegółowo z treścią udzielanej nauki; omawia źródła i podręczniki, których używano w różnych szkołach. W drugiej części pracy zajmuje się prof. Dąbkowski kierunkiem i sposobem uuczania. Ta część ma najogólniejsze znaczenie. Scharakteryzowane są w niej ogólne podstawy, na których opierał się system Komisji edukacji narodowej. Specjalnie zaś nauczanie prawa zmierzało w jej szkołach nie do wykształcenia zawodowych prawników, ale do wykształcenia dobrych obywateli państwa. Rozwielmożniony indywidualizm, brak zainteresowania sprawami publicznymi u ogółu szlacheckiego, które to wady tak jaskrawo wystąpiły w Polsce XVIII. wieku, wywołały zbawienną reakcję, choć niestety spóźnioną, między innymi w działalności Komisji Edukacyjnej. Chciała ona ogromnym wysiłkiem odrobić wiekowe zaniedbania i dlatego tak silną wagę, wprost wyjątkową, położyła na przedmioty prawne i ekonomiczne. W kierunku i sposobie nauczania uwydatnia się pozatem bardzo silny wpływ prądów umysłowych popularnych na Zachodzie; jest on cały oparty na szkole prawa natury i związanych z nią zasadach fizyokratyzmu. Zgodnie z tem nauczyciele w szkołach wpajali w młode umysły pojęcia, które wtedy uchodziły za prawdy absolutne; nie ograniczały się one zresztą do dziedziny prawnej i ekonomicznej, lecz urabiały cały pogląd na świat pod względem filozoficzno-moralnym. Nie zapomina też autor uwydatnić braków, które z natury rzeczy wiązały się z tak raptowną organizacją wychowania na zupełnie nowych podstawach.

Część trzecia, najkrótsza, zawiera szereg historycznych faktów, dotyczących losów tego systemu nauczania, zwłaszcza po rozwiązaniu Komisji Edukacyjnej.

Przedstawiona praca zawiera wiele bardzo ciekawych szczegółów, charakterystycznych np. dla dziejów naszej kultury umysłowej w XVIII. wieku, albo np. specjalnie dla rozwoju naszych pojęć społeczno-gospodarczych. Nie będzie jej mógł pominąć historyk doktryn ekonomicznych. Ale prócz tego ściśle naukowego, ma ona i pewne aktualne znaczenie. Trudno może by przyszło przeprowadzić dzisiaj system nauczania nauk prawnych i politycznych w szkołach średnich, oparty na analogicznych podstawach. Zmieniły się nasze zapatrywania w jej dziedzinie, prawo i ekonomia rozrosły się w wiele specjalnych umiejętności, nieraz bardzo zawilych, które ująć w jeden system i w tak kategorycznej postaci podawać niewyrobionym jeszcze umysłom. Ale każde naprawdę narodowe wychowanie musi opierać się na tych samych ideach przewodnich, musi być przeprowadzone w duchu Komisji Edukacyjnej. To też na omawianą stronę jej działalności warto zwrócić baczniejszą uwagę w epoce, w której znów, po długiej przerwie, będziemy mogli zajmować się wychowaniem dobrych obywateli państwa.

\* \* \*

Bernard Chrzanowski, *Książka a wojna*, Poznań 1915, str. 15. Niewielka ta broszura powstała jako przedruk odczytu autora, wygłoszonego na Zjeździe Towarzystwa Czytelni ludowych. Autor zastanawia się nad pytaniem,

ku jakim tematom zwraca się obecnie umysł czytelnika, przygnieciony wojną, jakie specjalne potrzeby duchowe budzi wojna. Ciekawe są uwagi, dotyczące czytelnictwa jeńców wojennych. Po za tem w krótkim tym odczycie przewija się pewna myśl ogólniejsza — mianowicie przekonanie, że po wojnie powstać muszą książki nowe, „które dawać będą moc, zdrowie, siłę. Potrzeba będzie do tej olbrzymiej pracy nas wszystkich oczekujący książki — dobrego druha, książki — orzeźwiającego źródła, książki — umiłowanego wodza. Wołać ona będzie, jak niegdyś surma do boju, teraz jedynie o miłość ludzi; będzie dla nich bardem zachęcającym do czynu zbrojnego, będzie jak ta oraczom towarzysząca i słodząca im znoje, skowronkowa pieśń“.

\* \* \*

*Odbudowa wsi polskiej.* Materiały zebrał i wydał Bolesław Chomicz, słowem wstępnym opatrzył Stanisław Dzierzbicki, Warszawa 1916, str. 120. Powyższa broszura jest zbiorem referatów, uchwał, odezów, głosów dyskusyjnych i artykułów, oświetlających kwestję odbudowy wsi polskiej. Z pośród nich wymienić należy referat B. Chomicza, poświęcony temu tematowi. Referent podkreśla, że odbudowa wsi polskiej po wojnie musi być raczej jej przebudową, gdyż ta wieś pod względem bezpieczeństwa ogniowego, jak i pod względem kultury rolnej była wadliwie zorganizowana. Szczególnie mocno podkreśla on szkody wyrządzone przez pożary, popierając swoje wywody bardzo ciekawymi danymi statystycznymi. Podkreśla dalej konieczność równoległego przeprowadzenia akcji komasacyjnej; zajmuje się materiałami budowlanymi i podaje konkretne projekty organizacji całej akcji. W dyskusji nad tym referatem zabrał głos p. Maryan Lutosławski, omawiając zalety i wady różnych materiałów budowlanych; ten sam temat omawiali i ttni mówcy. Między innymi referat p. Z. Wóycickiego rozpatruje szczegółowo to zagadnienie ze stanowiska architektonicznego, podając fachowe uwagi o różnych materiałach budowlanych.

Mamy dalej przedruk zamieszczonego przedtem w „Gazecie rolniczej“ artykułu inż. J. Tuliszkowskiego, p. t. „Zadania w sprawie odbudowy wsi polskiej“, komunikat sekcji budowlanej Centralnego Komitetu Obywatelskiego, poruszający kwestję wznoszenia budowli tymczasowych, przygotowania materiałów budowlanych, zgromadzenia funduszków na odbudowę. Z bardziej ogólnego stanowiska omawia rzecz artykuł architekta Stefana Szyllera („Jak powinna być odbudowana wieś polska“), podkreślający konieczność zachowania jej narodowego charakteru. Tej sprawy dotyczy też artykuł W. Grabskiego (w sprawie odbudowy wsi polskiej) i replika Koła Architektów na ten artykuł. Na końcu broszury przytoczone jest prawo z dnia 15. grudnia 1914 r. o wydawaniu zapomóg na odbudowę.

Różne te referaty zawierają wiele technicznych uwag, może mniej interesujących niefachowców, niekiedy też uwydatnia się w nich różnica zdań co do różnych kwestyi, związanych z odbudową. Ale przebijają się w nich wszystkich jedna wspólna idea, którą dobrze streszczają słowa przedmowy, napisanej przez p. Stanisława Dzierzbickiego: „Nie tracąc bynajmniej drogiego sercu naszemu charakteru wsi polskiej, przy jej odbudowie nie zapominajmy, że, obok „prastarego piastowego jej wyglądu“, czerpiącego swój urok ze strzechy i zrębu drewnianego, winniśmy wysunąć dążenia współczesne, by uczynić wieś zdrowotną, nie palną i czyniącą zadość wymaganiom postępu. Form swojskości tym sposo-

bem nie zatrzymamy, obcych naleciałości nie zaszczepimy, lecz podźwigniemy jedynie dobrobyt kraju o szczebel wyższy. Krzewienie komasacyi, a co za tem idzie — należytego rozplanowania całych wsi i zagród poszczególnych, dalej popieranie materyałów ogniotrwałych i takichże pokryć w drodze udzielania zasiłków na powstawanie cegielni i współdzielczych wytwórni, obok jednoczesnego nawoływania do stawiania domów ludowych, ochron i szkół, wpłynąć może jedynie dodatnio na wygląd wsi polskiej, na jej swojskość i urok“.

We wszystkich tych pracach przebija się wielka energia, wiara w przyszłość i skuteczność planowanej pracy mimo ogromnego obecnego zniszczenia. Niema w nich jakiejś projektomanii, skłonności do podejmowania rzeczy, które ze względów technicznych czy ekonomicznych urzeczywistniłyby się nie dały. Wszystkie plany formułowane są w sposób konkretny, umożliwiający natychmiastowe podjęcie pracy. Pomocy rządowej te plany nie lekceważą, przeciwnie uznają jej konieczność i zastanawiają się nad sposobami jej najlepszego zużytkowania. Ale rzecz niezmiernie charakterystyczna, ta pomoc państwa usunięta jest na tło dalsze, nikt tam od państwa nie spodziewa się inicjatywy ani kierownictwa akcją, ani też od pomocy państwa nie uzależnia rozpoczęcia całej sprawy. Odbudowa wsi i miasteczek pojęta jest jako dzieło czynników społecznych, jako rzecz wymagająca organizacyi wysiłków miejscowych i do miejscowych potrzeb dostosowana. To też warto, by omawianą broszurę wziął do rąk nie tylko architekt lub ekonomista, ale by zapoznały się z nią szersze koła; dostarcza ona bowiem materyału do porównań, jak na analogiczne zagadnienia reaguje społeczeństwo nasze w Królestwie Polskiem a jak w Galicyi.

R. R.

\*  
\*  
\*

Dr. Edward Taylor, *O istocie współdzielczości*. Zadania i potrzeby gospodarze 7. Lwów 1916. Zdaniem Dr. Taylora zrozumienie istoty współdzielczości ma znaczenie nie tylko dla teoryi ekonomicznej, lecz również duże praktyczne znaczenie dla ruchu współdzielczego. By dobrze użyć tego doniosłego narzędzia, trzeba wnikać w jego istotę. Ten wzgląd zapewne uzasadnia zamieszczenie tej skromnej rozmiarami a bogatej treścią rozprawy teoretycznej, poświęconej pojęciu kooperacyi i kooperatywy, w cyklu broszur, o charakterze praktycznym, wydawanym pod redakcją prof. Dr. Bujaka („Nasze zadania i potrzeby gospodarze“).

Autor najpierw przechodzi kolejno różne kierunki ekonomiczne, które w rozmaity sposób formułowały charakter i zadania ruchu współdzielczego. Zajmuje się najpierw kierunkiem asocyacyjno-utopijnym, związanym z postacią R. Owena i innych, charakteryzuje zasady, na których oparli się „pionierzy z Rochdale“ i teoretycznym rozwinięciem tych zasad przez pisarzy późniejszych, dalej przechodzi do teoryi kooperatywy wytwórczej, poświęca kilka uwag kooperatyzmowi produkcyjno-spożywcemu, wreszcie charakteryzuje znaczenie systemu Reifisena i Schulzego z Delitzsch dla współdzielczości. Innym źródłem definicyi istoty kooperacyi i kooperatywy jest ustawodawstwo współczesne państw europejskich. Dr. Taylor podkreśla braki, wiążące się z jednostronnem opieraniem się na czysto prawniczych dyfinicyach. Po tych krytycznych uwagach dochodzi do własnego określenia kooperacyi i kooperatywy, w którym chce uniknąć skrajności, charak-



teryzującej niektóre współczesne kierunki. Za zasadnicze momenty dla istoty współdzielczości uważa: charakter dobrowolny związku osób równouprawnionych i to związku w zasadzie otwartego dla wszystkich; dalej fakt, że ten związek ogranicza swoją działalność gospodarczą w zasadzie tylko do członków i obejmuje dziedzinę, w której jego członkowie są słabsi gospodarczo; w końcu zyski z działalności zarobkowej rozdziela się między członków w stosunku, w jakim oni korzystają z tej instytucji, albo też przeznaczają się na wspólne cele związku, względnie na cele ogólne.

Rozprawę Dr. Taylora zamyka obfita bibliografia prac obcych i polskich, poświęconych współdzielczości.

## Rzeczy nadesłane do Redakcyi.

Jan Tomasz Dziedzic: *Jak zakładać i prowadzić składnice i sklepy Kótek Rolniczych? Zadania i potrzeby gospodarze* 5. Lwów 1916.

Dr. Edward Taylor: *O istocie współdzielczości. Zadania i potrzeby gospodarze* 7. Lwów 1916.

## Od Redakcyi.

W najbliższych zeszytach Czasopisma ukażą się artykuły następujących autorów: Augusta Balasitsa, Ignacego Chrzanowskiego, Kazimierza Morawskiego, Wacława Sobieskiego i in.; w dziale literackim utwory Jana Kasprowicza, Władysława St. Reymonta, Stefana Żeromskiego i in.



